№ 15. Warszawa, dnia 31 Marca (12 Kwietnia) 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

LISTY Z PODRÓŻY

pisane przez

Stefana Marusińskiego do rodziny w kraju. *)

Alger dnia 14 czerwca 1878 r.

Po pożegnaniu drogich rodziców i rodzeństwa w Krakowie, na trzeci dzień odebrałem telegram od pana Moor z Wrocławia żeby zaraz wracać gdyż już drugi raz z Londynu odebrał zapytanie, kiedy przyjeżdżam? Zabrałem się więc niebawem i rannym pociągiem opuściłem kochany nasz stary Kraków, kto wie na jak długo. Przybywszy do Wrocławia tyle zaledwo miałem czasu żeby znajomych pożegnać, i koleją przez Niemcy puściłem się do Hamburga, gdzie siadłszy na okręt szczęśliwie dopłynąłem do Londynu. Byłem zdumiony zobaczywszy drugie miasto okrętów w porcie. Objąłem obowiązek w wielkim domu handlowym należącym do kompanii angielsko-indyjskiéj, z wynagrodzeniem na początek 7 funtów szterlingów miesięcznie i dyety na koszta podróży. Nie jest to świetnie lecz postanowiłem od małego zacząć i gorliwie pracować żeby dojść do niezależnego bytu, bo pamiętam rady kochanych rodziców, że najpewniejszy majątek to własna usilna praca, i nie pogardzanie żadnem zajęciem. Zapytał mnie Szef czy nie jestem znużony podróżą żeby mógł zaraz udzielić mi pewnych informacyi, odpowiedź moja że mogę zaraz wziąść się do tego bardzo mu się podobała, bo w Anglii czas to pieniądze. Powiedziano mi że pojadę do Algeru za zakupem południowych owoców; przez cztery dni obznajmiałem się z tym przedmiotem piątego zabrawszy weksle i listy znów siadłem na okręt, i nie widziawszy prawie Londynu opuściłem go, udając się w drogę przez Francyą. Było mi niezmiernie przykro przejeżdżać przez Paryż i nie być na wystawie, lecz trudno miałem spieszyć na miejsce bo czas owoców już nadszedł i każdy dzień zwłoki jest ważny. Paryż więc widziałem w przejeździe z banhofu kolei północnéj na południową, którą przybyłem do Lyonu, a ponieważ parostatek na Rodanie odpływa jutro do Marsylii, korzystam więc z czasu i piszę te kilka słów.

Cóż to za ogromne miasto przeszło pół miliona ludności, handlowe nadzwyczaj, najpiękniejsze wyroby jednabne szale francuzkie i wiele innych rzeczy godnych widzenia. Rodan przepływając miasto dzieli je na dwie połowy, z prawéj strony stara z lewéj nowa część jest położona. Domy bardzo wysokie, pięknie zbudowane, chodniki i kawiarnie bulwarowe urządzone z szykiem i przepychem, ale zabawni są czyściciele butów z których każdy ma elegancki fotel, czasem i aksamitem kryty. Na większych ulicach jest ich po 10-ciu a ciągle upominają przechodzących że mają buty nieczyste. Życie i mieszkanie nie są tu drogie wcale. Z Lyonu udałem się w dalszą podróż parostatkiem na Rodanie, przejazd trwał od 6 rano do 7 wieczorem, podróż przyjemniejsza i tańsza niż koleją, okolica piękna ale charakter jéj już trochę południowy, zbóż nie widać tylko winnice i czasem drzewa oliwne. Miasto jak Valencya, Château-Neuf i wiele innych są bardzo pięknie położone, w Château-Neuf znajdują się ruiny z letniéj rezydencyi papieży gdy w Avignon mieszkali. Na statku zrobiłem znajomość z jedną staruszką z Valencyi, miła kobiecina, gadatliwa jak tylko może być Francuzka z południa, zapoznała mię z całą swą familią od prapradziadka jeszcze z czasów Ludwika XV aż do najmłodszego wnuka, żałowała że nie mogę z nią zostać na czas dłuższy w Valencyi dla wysłuchania kilku jeszcze historyi: dawała mi dobre rady co do ożenienia i rozmaite inne pocieszne ale, razem poczciwa babinka! Avignon bardzo ładne miasto, zdaje mi się rodzaj fortecy, zdrowe i czyste. Od Avignon do Marsylii płynie się ciągle śród drzew oliwnych, migdałowych, figowców, cyprysów, jednem słowem kraj zupełnie południowy, domki całkiem inaczéj zbudowane, lud prosty odmienniéj mówi, widziałem massy róż które sobie rosną tak jak u nas osty, głogi, słowem cudnie ta cała okolica wygląda. Marsylia miasto mniejsze niż Lyon lecz życia tu pełno, ruch, gwar, haos, krzyk do tego stopnia głuszy przybysza, iż chodzi z początku jak gdyby we śnie. Największy hałas jest z rana i w nocy tak do 12, ludzie przesuwają się jak w kalejdoskopie, narodowości całego świata. Cienki, wysoki Anglik idzie z opasłym Turkiem, tam znowu Murzyni z Arabami owdzie Grecy w bogatych strojach, Hiszpanie, Portugalczycy w ogromnych kapeluszach, szerokich pasach za któremi sztylety, swobodnie przechadzają się po bulwarach obok dam i modnisiów jak z żurnalu, a sprzeczność ta z początku nuży oko lecz późniéj dość bawi. A cóż tu mówić o porcie, gdzie setki okrętów z całego świata, krzyki majtków, komisionerów nawoływania woźniców, którzy pędzą przed sobą 5 do 6 mułów zaprzęgniętych w sznur i dzwonią dzwoneczkami umieszczonemi na homontach tak że własnego głosu nie słyszysz; dodać do tego wykrzykiwania sprzedających gazety, lody, wachlarze, owoce, którzy nie żałują piersi a mają głos nadzwyczaj donioSły, ruch dorożek i tramwajów a jest ich tu coś z 8

*) Listy te zupełnie nieprzeznaczone do druku a pisane jedynie dla rodzinnego kółka, zalecają się szczególniej prostotą opowiadania. Upoważnieni do ich publikacyi nie ścieraliśmy barwy nadanéj im przez Autora, a nawet rozmyślnie zachowaliśmy niektóre szczegóły czysto osobiste jako świadczące jasno, że dawny obyczaj nie zaginął zupełnie a samolubstwo nie zawładnęło jeszcze wszechwładnie sercami ludzkiemi.

linji pokryć to gorącym niebem południa a będzie słaby obraz życia w Marsylii.

Największe miasta handlowe w Niemczech są cichemi zakątkami przeciw temu południowemu Londynowi. Miasto zbudowane amfiteatralnie, domy duże na 6 i 7 pięter, ulice szerokie, wygodne sklepy ogromne i pięknie dekorowane. Tak np. jeden kapelusznik caluteńki dom gdzie jego sklep pokrył kapeluszami, ale to literalnie od strychu aż na dół nawet okien nie oszczędzał. Kawiarnie z ogromnym przepychem urządzone, najwięcéj życia w nich: wieczorem można widzieć do 1000 ludzi a wszystko zajęte rozmową ożywioną, i zapijające absynt z wodą najlepszy trunek na pragnienie. Okna u wszystkich domów zaopatrzone w żaluzye zielone i tylko wieczorem otwierane, co dosyć zabawnie wygląda, zdaje się jak gdyby wszystkie domy w dzień były pogrążone we śnie, podczas gdy mieszkańcy ich uganiają się po ulicy.

Co do magazynów i sklepów różnych to kupcy są do tego stopnia grzeczni, że pozwalają wchodzić oglądać wszystko nie będąc zobowiązanym co kupić. Naturalnie zawsze się znajdzie trochę ludzi, którzy wstępują, tak aby widzieć a pomimowoli kupią i to dosyć nieraz: ot dzieje się to tak en passant jak Francuzi mówią. W Marsylii nie miałem dużo interesów, czekając więc na statek który miał mnie zabrać do Algeru, zwiedziłem miasto. Po załatwieniu interesów rano udałem się na przechadzkę, zwiedziłem Château d'Eau (wodny zamek) który jest czarujący, cała budowla bowiem wspaniała, i patrzącemu z dołu zdaje się wyrastać z pośród tysiąca wodospadów. Jest bowiem tak urządzone, że woda spadając ze skał po pewnym rodzaju schodków tworzy prześliczne wodospady z pomiędzy których wynurzają się cudowne grupy marmurowe i rozmaite drzewa. Tuż na Château d'Eau znajduje się ogród zoologiczny, wprawdzie pięknie urządzony lecz zwierząt nie ma tyle i tak ładnych jak we Wrocławskim. W Marsylii przechodząc w Niedzielę spacerem na bulwarach zgubiłem spinkę jedną z tych co to mi panienki kupiły w Krakowie, tak mi się żal zrobiło że postanowiłem jéj szukać. Ale jakże tu znaleźć kiedy to już wieczór a tysiące prawie ludzi snuje się ciągle. W tem spostrzegam biedną niewidomą kobietę stojącą o kilka kroków przede mną, myślę sobie; dam jéj co a może spinka się znajdzie, zaledwie to pomyślałem spoglądam na ziemię i pośród kurzu na środku ulicy spostrzegam coś podobnego do spinki, schylam się więc i o cudo, patrzę aż to właśnie ona! Uradowany obdarzam niewidomą a spinkę chowam i od tego czasu już ich nie noszę, obawiając się zgubienia. Po lewéj stronie portu patrząc z miasta, znajduje się na wysokiéj górze kościół na którego wieży jest posąg Matki Boskiéj z Panem Jezusem na lewéj ręce. Posąg ten jest pozłacany i polerowany tak że z daleka już wjeżdżając do portu spostrzega go się, i bardzo przyjemnego doznaje uczucia patrząc nań.

Kościół i posąg nosi nazwę; Marie Sanvegarde czyli Opiekunki Zbawicielki i rzeczywiście nie słychać aby się tam kiedy okręt rozbił, podczas gdy tutaj na afrykańskim wybrzeżu, dzień po moim przybyciu rozbił się prawie w samym porcie w Algerze okręt Hiszpański i z którego zaledwie osadę uratowano, okręt zaś, towary i około 40 sztuk mułów poszły na dno. Na drugi dzień jeszcze widziałem szczątki jego pływające blizko brzegu. Wyjechałem z Marsylii na parostatku Mohamed około godziny 5 po południu, przepłynąłem około Château d'If, tyle sławnego ze strasznych więzień. Z początku podróży morze było wzburzone lecz bez niebezpieczeństwa, okręt kołysał się dość silnie, bałwany wpadały aż na pokład, nawet zmoczyły mnie dosyć, lecz umyślnie zostałem na pokładzie aby patrzeć na morze, i gdy w koło mnie wszyscy cierpieli morską chorobę, ja z zimną krwią wytrzymałem wszystkie kołysania się statku i nic mi nie było, nawet późno dopiero zeszedłem do kajuty aby się spać położyć, i uniknąć nieprzyjemnego widoku cierpiących. Noc przepędziłem dosyć dobrze pomimo stękań i jęków passażerów. Na drugi dzień morze uspokoiło się trochę, opuściliśmy zatokę Lyońską, pogoda była ładną widok wysp Balearskich urozmaicił horyzont lecz wyspy te są puste i nie bardzo urodzajne. Reszta podróży odbyła się dobrze i spokojnie. Do Algeru przybyłem o 4 rano, widok miasta oświetlonego latarniami i przeglądającego się w morzu był uroczy. Wylądowanie trwało z godzinę. Za wstąpieniem na ziemię Afrykańską zaraz inny krajobraz: pełno Arabów którzy otaczają człowieka i łamaną francuzczyzną dopraszają się o pakunki. Zainstalowawszy się w moim mieszkaniu poszedłem na śniadanie, kawy z mlekiem nigdzie dostać nie mogłem; musiałem wypić czarną i to z rumem bo tu taki zwyczaj. Następnych dni rozpatrzywszy się w mieście, stosownie do instrukcyi z Londynu, zająłem się interesami które dobrze idą. Zajęcie moje trwa nieraz 4 dni z rzędu a później dzień lub dwa wolne stosownie do okoliczności. Skwar tu ogromny już o 10 z rana jest 30 stopni R. to też opaliłem się już na dobre ale to gorąco nic mi nie szkodzi, nawet bólu głowy nie doświadczam i zdrów jestem zupełnie. Odkąd tu jestem deszczu nie widziałem, żniwa się kończą a owoce już dawno pozbierane. Ziemniaki sadzą tu trzy do czterech razy na rok, wino rodzi się w obfitości, pomarańcze, figi, cytryny, ananasy, daktyle, morele, brzozkwinie, oliwki, gruszki, jabłka i setki innych owoców jak: orzechy kokosowe, i t. p. są tanie i duże. Truskawki i wiele innych owoców i jarzyn już się kończą, ponieważ teraz zaczęły się upały i skwary i wszystko wysycha, trawa już spalona zupełnie, i gdzie nie kropią gruntu sztucznie to wypali aż do ziemi.

Wskutek gorąca kurzu massa, a gdy przyjdzie sirokko lub minstral to ani pokazuj się na mieście bo kurz i piasek oczy zasypie. Dzień tutaj o wiele jest krótszy niż u nas, o 8 już noc kompletna a o 6 rano dopiero się dzień poczyna, szaréj godziny nie ma zupełnie. Miasto Alger dosyć jest duże, składa się z dwóch części, na dole po nad portem zamieszkałe przez Europejczyków i bogatych Arabskich żydów, po nad nim na wysokiéj górze zbudowane w amfiteatr znajduje się stare miasto arabskie zamieszkałe przez Maurów, Arabów, Kabylów i Murzynów ze Sudanu. Domy wszystkie są budowane w stylu Maurytańskim z płaskiemi dachami, a tak są ustawione że tworzą sklepienia po pod któremi trzeba się piąć w górę gdzie dosyć jest ciemno, i to są ulice; romantyczne bo romantyczne lecz żeby miały być bezpieczne to tego nie powiem. W ogóle cała ta część arabska miasta, jest nader oryginalną, patrząc z morza malowniczo wygląda, ale wewnątrz uliczki wązkie, ciasne, dosyć brudne, i przytem nadzwyczaj stromo idące w górę. Przeciwnie miasto Europejskie jest ładnie zbudowane, przed każdym domem rodzaj galeryi na słupach tak że można przejść całą ulicę i to w najlepszym cieniu. Przeważną część ludności stanowią Maurowie i Arabowie, następnie Francuzi, Anglicy, są też i Turcy oraz Hiszpanie i Włosi, reszta zaś to zbieranina z całego świata, wszystkie języki słyszeć można, nawet jest tu kilku Polaków. Arabowie są najbiedniejsi i stanowią właściwie najuboższą klasę, wszyscy chodzą w strojach narodowych, jak również i kobiety arabskie, które są o wiele schludniejsze i czyściéj się ubierają niż ich mężowie. Wszystkie noszą się zupełnie biało, spódnice nakształt męzkich spodni, ogromne chusty muszlinowe któremi tak się okrywają że tylko oczy można widzieć, białe pończochy i eleganckie pantofle na korkach: czy są ładne, powiedzieć nie mogę, tylko nóżki mają nadzwyczaj maleńkie. Dziwnym zwyczajem, czernią brwi i łączą je po nad nosem, oraz różują paznokcie i dłoń. Arabowie ubierają się w burnusy białe i spodnie (rodzaj spódnicy) po kolana, w pończochy białe, żółte lub niebieskie, i meszty na nogach. Murzyni chodzą ubrani jak się któremu podoba, najczęściéj z turecka. Żydzi noszą ubiory tureckie, żydówki zaś które dochodzą do olbrzymiéj grubości, ubierają się jak się zapewne za Mojżesza ich prababki nosiły; niepodobną opisać tego kostiumu. Z gmachów publicznych zasługuje na uwagę kościół OO. Missyonarzy i Saint Eugene: ten ostatni na ogromnéj górze o $^{3}/_{4}$ mili za miastem zbudowany bardzo ładnie. Do tego kościołka co jest w mieście chodzę w Niedzielę na Sumę, bardzo miły kościołek, malutki lecz schludny, ławek w nim nie ma tylko krzesła za które się płaci jednego sou (3 centy) nabożeństwo odbywa się tak jak u nas z maleńką odmianą. Są też tu i siostry miłosierdzia, zatrudniające się nauką i wychowaniem małych dzieci. Jest przytem kościół protestancki, kilka bożnić i meczetów. Już to w Algerze Francuzi nie grzeszą czystością w mieszkaniach, naczynia do jedzenia zakurzone nieznośne w ogóle, stojąc w Wrocławiu u Francuzki, lepsze o ich porządku miałem wyobrażenie.

(*d. c. n.*)

Morze i skały.

Szumi morze, szumi
U podnóża skał;
Wzdyma się i pieni
Morskiéj wody wał,
A olbrzymią piersią
Tłukąc twardy brzeg,
Kłębi się, nachyla—
I przyśpiesza bieg...

Stoją skały, stoją
Na granicy wód,
Z dumą spoglądają
Na czczy morza trud,
I nie drgnąwszy z miejsca
Nawet i na włos,
Piersią granitową
Odpierają cios...

Wieki to już, wieki
Toczy się ten bój;
Morze wciąż napiera,
Skały mówią: stój!
A w téj walce kipi
Tak zaciekła złość,
Że zapaśnik żaden
Nie wypowie: dość!...

Czasem jednak, czasem,
Gdy zawieszą broń,
Świeci, jak zwierciadło,
Modra morska toń,
I w przejrzystéj głębi,
Skałom jak na zło,
Odwzoruje jasno.
Całe nieba tło...

Patrzą skały, patrzą
Na ten cudny dar;
Chciałyby też w sobie
Uczuć nieba czar,
Lecz napróżno pragną
Zdobyć jasność wód:
W piersi zawsze ciemniéj
Nie zabłyśnie cud...

Rudolf Rożniatowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

25 t. m.

Nie byłabym kobietą, gdybym nie wiedziała naprzód że Flaminia dzisiaj przyjdzie i to o takiéj porze o jakiéj wie, że mnie tylko samą w domu zastanie!

Otóż tak się też i stało. Przyszła gdy rodzice do łazienek na dół zeszli i zaraz zabrała się do oglądania albumu. Dla pozoru przewracała karty z tyłu i z przodu, wypytywała się o różne twarze i widoki, ale oko moje dojrzało, że od czasu do czasu wracała do ciebie i długo w twarz twoją się wpatrywała. Po niejakim czasie, widząc że ja rozmowy wczorajszéj co do téj fotografii nie kontynuje, zaczęła sama, utyskując ciągle nad tem, że tego człowieka gdzieś znała i że go tylko w pamięci swojej odszukać nie może!

— Nie mogłaś go widzieć, odpowiedziałam, bo i on ciebie nigdy nie widział... To mój... brat!

Flaminia patrzała na mnie chwilę z pewnem zadziwieniem, z którem jéj bardzo było do twarzy, i rzekła do mnie:

— Niedobra! Czemu wczoraj nic mi o tem nie powiedziałaś?

— Czy dzisiaj już zapóźno? zapytałam z uśmiechem.

Zarumieniła się jak jutrzenka i rzuciła mi się na szyję. Chciałabym, abyś wtedy z po za portyery patrzał na nią i te gorące pocałunki widział...

Ale wnet zmieniła wyraz twarzy, jakby zawcześnie z czegoś się cieszyła, odstąpiła ode mnie na krok i zdawało się, że jakieś zapytanie miała na ustach...

Zapytanie jednak nie wyszło, a ja... byłam tak niedomyślną że wcale biednéj Flaminii nie dopomogłam! Biedna! Cóż to szkodzi, że z tem zapytaniem pozostanie do jutra! I ciebie żegnam, do jutra.

27 t. m.

Nie dotrzymałam ci słowa, bo Flaminia także mi nie dotrzymała. Wczoraj nie była u mnie. Przyszła dopiero dzisiaj i tłomaczyła się z wczorajszéj niebytności. Widziałam jednak, że na wczorajszą nieobecność swoją kładła pewien nacisk. Chciała, abym na to zwróciła uwagę. Chodziło jéj widocznie o to, aby naprawić to, co przedwczoraj nieoględnie odsłoniła. Siedziała dosyć długo, ale albumu mego do ręki nie wzięła. Nie zapytała ani o fotografią, ani o tego którego fotografia przedstawiała. Siedziała z taką uroczystością jakby jaką rolę odgrywała. Nie żartowała jak zwykle ze mną, nie śmiała się, ani nawet nie próbowała owego lekkiego dowcipu, z którym jéj bardzo do twarzy. Słowem coś jéj widocznie brakowało, co chciała czem innem zastąpić, a przedewszystkiem nie chciała tego po sobie okazać. Jeżeli jesteś psychologiem, to pomyśl trochę nad tym listem. *Tante a vous* Elise.

28 t. m.

Dzisiaj wypadło mi być u staruszki, chociaż w planie tego bynajmniéj nie miałam. Flaminia ucieszyła się nadzwyczajnie i rzuciła mi się na szyję. Patrzała na mnie chwilę, jakby czegoś ode mnie oczekiwała. Zaczęliśmy ze staruszką mówić o rzeczach codziennych. W tem nagle bez żadnego związku z rozmową zapytała mnie staruszka, czy z domu nie otrzymałam jakich wiadomości. Odpowiedziałam że miałam niedawno list od ciebie.

— Czego brat pani nie przyjedzie kiedy tutaj? zapytała wszak on bezżenny? Nieprawda?

— Tak jest, odpowiedziałam z obojętnością, co mi jednak nie przeszkodziło spojrzéć z uwagą na Flaminią.

Widziałam że po twarzy Flaminii przebiegł ciemny rumieniec, który starała się ukryć szybkiem pochyleniem głowy.

Zdaje się, że coś o tobie z sobą mówiły. Późniéj więcéj. Bądź zdrów.

29 t. m.

Wczoraj było ojcu gorzéj. Miał gorączkę i skarzył się na osłabienie. Matka płakała a u mnie jak wiesz nietrudno o łzy jak o śmiech. Byłam właśnie zapłakana, gdy przyszła Flaminia. Zaledwie się ze mną przywitała, zaledwie w kilku słowach dowiedziała się o przyczynie naszego smutku, gdy zaraz jéj oczy zaszły łzami, jakby ją nasze nieszczęścia tak samo jak nas obchodziły. Jest nadzwyczaj czułą na cudzy smutek. Pocieszała mnie jak mogła, a gdym jakoś natrąciła że na wypadek śmierci ojca byłabym bardzo nieszczęśliwą, rzekła do mnie:

— Jest rzeczą bardzo naturalną że ci to na myśl przychodzi, ja także o czemś podobnem czasem myślę. Babunia moja jest słaba i wiekowa osoba broń Boże śmierci na nią, zostałabym sama jedna na świecie!

Z oczu jéj puściły się łzy.

— Ta sama myśl jest powodem mego smutku, odpowiedziałam.

— Przecież masz brata! rzekła.

— Tak... to prawda! odparłam.

Flaminia patrzała na mnie wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie z wyrzutem.

— Tak mówisz chłodno, ozwała się po chwili, jakbyś brata swego nie kochała!

— Z czegóż to wnosisz? zapytałam.

— Nie miałam brata, odpowiedziała, i nie umiem nawet pojąć stosunku siostry do brata. Zdaje mi się jednak, żebym go kochała namiętnie, że z nim razem nie czułabym się na świecie samotną!... A ty tak chłodno wymówiłaś to słowo: brat! Biedny ten twój brat! Wyrządziłaś mu krzywdę, którą prędko musisz powetować!

— Powiedz, jakim sposobem?

— Pisz zaraz dzisiaj do niego. List twój będzie dowodem twego uczucia!

Uśmiechnęłam się patrząc na Flaminią, która wyglądała trochę pomieszana.

— Może mu napisać, rzekłam, na czyją instancyą piszę do niego?

Flaminia przyłożyła twarz do mego ramienia.

— Jesteś dziwną, szeptała mi w ucho, przy łzach masz jeszcze ochotę do żartów!

Uścisk, który zaraz po tych słowach nastąpił, nie był jednak wcale żartem. Był gorący i długi i słyszałam wyraźnie jak Flaminii głośno serce biło!... Widzisz szczęśliwy człowieku, że ktoś nad brzegiem morza jest trochę, trochę tobą już zajęty, chociaż cię nigdy nie widział! Przy kłopotach gospodarskich pomyśl czasem o tem! Żegnam cię.

1 listopada.

Dzisiejszy list twój, który przed godziną odebrałam był prawdziwą dla mnie niespodzianką. Wiem że leniwy jesteś do pisania listów, ale tym razem dałeś dowód przeciwny. List jest długi i tak pisany, jakbyś był znakomitym człowiekiem i wierzył że list ten po twojéj śmierci wydrukowany będzie. Ale ja podejrzywam cię o co innego. Tyś pisał w téj myśli, że list twój oprócz mnie ktoś inny może przeczytać! Nieprawdaż?

Jeżeli taki był twój cel, to osiągnąłeś go świetnie! Gdy bowiem list ten nadszedł, była właśnie u mnie Flaminia. Nie wiem sama doprawdy co się tam po téj pięknéj głowie dzisiaj roi, ale gdy obaczyła stempel pocztowy, zarumieniła się na twarzy jak pensyonarka, gdy pierwszy *bilet douc* obaczy. Potém z niecierpliwością patrzała na mnie, gdy list czytałam—a domyślisz się że to trwało dosyć długo.

— Poczciwy Maryan! zawołałam—miałaś słuszność że on mnie więcéj kocha niżeli ja jego!

— Cóż pisze? zapytała nieśmiało.

— Ach—odpowiedziałam, cóż cię to może interesować? Ot zwykłe kłopoty gospodarskie!

— Jeżeli nie są one tajemnicą domową, rzekła, to może coś mi z nich udzielisz. Nic tak dobrze nie charakteryzuje człowieka jak jego listy poufne. Znając ciebie chciałabym trochę poznać twego brata. Choć jeden ustęp przeczytaj!

Gdy to mówiła miała, w oczach tak piękny wyraz jakby w téj chwili jéj serce doznawało nader przyjemnego wzruszenia.

I odczytała z twego listu ten ustęp, który ci się udał po mistrzowsku. Osobliwie gdy opisujesz swoje osamotnienie, gdy malujesz ów ponury obraz nocy, z nad któréj wiatr puka do twego okna a ty zdajesz się w tém pukaniu słyszéć wieści z nad Adryatyku, których tak pragnie samotne serce twoje!... Daléj czytałam jéj ten piękny ustęp o twoich filozoficznych przechadzkach po lesie, w którym tyle głosów jest zrozumiałych dla ciebie, czego zwyczajni ludzie bynajmniéj nie słyszą!... Prawdziwie poetyczny był obraz zachodzącego słońca, i dodana do niego myśl nieposlednia: że jak w to słońce równie patrzą ludzie z pod Karpat i z nad Adryatyku nie widząc i nie znając siebie wzajem, tak samo może dwoje ludzi, chociaż sobie nieznanych, patrzéć jednocześnie w ideał szczęścia swego i równocześnie do niego tęsknić!..

Ten ustęp osobliwie sprawił na Flaminii wielkie wrażenie. Oczy jéj zaiskrzyły się, kazała go jeszcze raz powtórzyć. Nie dosyć na tém. Kazała sobie ten ustęp pokazać i słowo za słowem powoli odczytała go kilka razy!... Potém westchnęła, pomyślała chwilę i rzekła:

— Widzisz, że miałam słuszność, gdym cię prosiła o odczytanie choć jednego ustępu z listu tego. Teraz mogę ci szczerze powiedziéć, że twego brata znam może lepiéj od wszystkich jego sąsiadek!...

— Czy mogę mu o tém napisać? zapytałam.

Flaminia posmutniała i zamyśliła się.

— Czyż on mnie zna? rzekła i smutno ruszyła ramionami.

— Mogę się o to postarać, że cię pozna, odpowiedziałam z uśmiechem.

— Czy jest na to sposób jaki?

— A... pióro od czego?

Flaminia patrzała na mnie czas niejakiś z uwagą a potém rzuciła mi się na szyję.

— Tylko—szepnęła mi śród uścisków do ucha—tylko nie bądź... denuncyantką!

Była bardzo piękną wtedy, gdy to mówiła, oczy jéj błyszczały jak dwa najpiękniejsze fijołki!

Ściskam cię.

5 listopada.

Nie poznaję cię wcale. Piszesz jak najęty łokciowe listy. Nigdy tego u ciebie nie bywało. Nawet wzrok twój zabarwia się coraz więcéj kolorem różowym. Dawniéj byłeś pessymistą, dzisiaj widzę cię na ostatniéj prawicy. Gdybyś siedział w parlamencie, posądzonoby cię o przeniewierzenie się zasadom lub o jaką łapówkę ministeryalną!... Wszystko tak dobrze ci idzie! O gospodarstwie piszesz jak o raju adamowym! Gorzelnia dobrze wydaje, woły tuczą się, a nawet stary Szymon jest teraz w łaskach! Co się z tobą dzieje?... Nawet dla pana Krzysztofa masz miejsce w liście i poświęcasz mu całą stronicę, jakbyś się w nim zakochał! Wprawdzie przysługa jego dla ciebie jest niepospolitą, ale to przecież jeszcze z niedźwiedzia nie zrobi Apolina! Pamiętam, jak raz na balu upadł biedak! Co to było śmiechu! Panna Amelia powiedziała bardzo słusznie, że w trzech pogranicznych powiatach nie powinien po téj katastrofie starać się o pannę... Zdaje się, że nawet usłuchał téj rady, bo jak słyszałam miał się żenić z córką swego ekonoma. Taka partya byłaby najlepszą dla niego!...

Ale w tym optymizmie twoim widzę co innego. Bardzo się nawet z tego cieszę. Osoba, któréj nazwiska tutaj nie wymieniam, na wszystkich taki wpływ wywiera. Wszyscy w jéj otoczeniu muszą się stać optymistami. Jest ona jak ożywcze słonko Boże, które we wszystkiem budzi życie nowe, albo jak anioł opiekuńczy, który szelestem skrzydeł swoich pokrzepia serce umartwionych!...

Chciałabym szczerze, abyś ją poznał osobiście, i wierzę, że to kiedyś nastąpi!

Niezapominaj o nas wszystkich! Kochająca cię siostra.

P. S. Dziwna jest Flaminia. Po odczytaniu kilku ustępów z twego poprzedniego listu, zapytuje mnie teraz co dzień czyś nie pisał! Ona myśli, że siostra z bratem codziennie rozmawiać powinna. Jak będziesz pisał pamiętaj i o niéj.

8 listopada.

Nie wiem doprawdy, jakim sposobem ten pan Krzysztof ciebie tak oczarował. Większą część listu poświęcasz swemu wspólnikowi. Ale w tem widzę tylko dobre serce twoje. O ile znam pana Krzysztofa, nie sądzę aby on tak platonicznie się do ciebie przywiązał. Musi mieć w tem dobrze obliczony interes, jeżeli ci woły na wypas kupuje i w gorzelni dopomaga. Przecież on jest znany z tego, że grosz zbija a za zyskiem wszędzie jeździ. Radzę ci, abyś z tego punktu zapatrywał się na dzisiejszą spółkę swoją.

A téraz dosyć tego. Przejdźmy do czegoś lepszego. Pobyt nasz tutaj z każdym dniem przynosi nam coraz więcéj przyjemności. Jakkolwiek są dnie, w których ojcu gorzéj bywa, w ogóle jednak widać pewne polepszenie. Postępuje to tylko bardzo powoli, zdaje się, że dłużéj trzeba będzie tu siedzieć, niżeli się spodziewałam. Nie gniewam się jednak za to. Obcych gości, którzy tu zwykle *forastiery* się nazywają, przybywa z każdym dniem coraz więcéj. Miasto stara się o różne dla nich przyjemności. Muzyka codziennie prawie grywa na placu św. Marka, który wieczorem osobliwie zamienia się w jeden olbrzymi salon. Wyobraź sobie kwadrat dziesięcio morgowy, otoczony arkadami i ścianami równych budynków trzypiętrowych z obfitą ornamentyką a z jednéj strony zamknięty katedrą św. Marka w stylu bizantyńskim, złożoną z samych kolumn marmurowych, mozaiki i posągów, na prawo pałac Dożów z królewskim zbytkiem zewnątrz a wewnątrz z strasznemi tajemnicami więzień podziemnych... wyobraź sobie to wszystko oświetlone tysiącem świateł gazowych, napełnione ludźmi po same brzegi, a będziesz miał słabe wyobrażenie o zbornem miejscu w Wenecyi! Dodaj do tego z „piazzetty" widok na morze, na snujące się nieustannie setki gondoli, pomiędzy któremi od czasu do czasu jak grubszy zwierz przesuwa się statek parowy lub powoli z całem majestatem nadpłynie z Ameryki, Chin lub Egiptu kolos trzymasztowy z malowniczą swoją załogą złożoną z murzynów, arabów lub chińczyków a będziesz miał jedną kartkę Wenecyi!

Przyznasz że na takiem tle i życie inaczéj się jakoś układa. Kto wie, czy właściwie kuracya cała nie gruntuje się jedynie na tem. Słyszałam, że wymyślono nowy sposób leczenia za pomocą zabarwionego światła. Kto wie czy właściwie wszystkie te leki zagraniczne, na jakie skazują nas lekarze, nie odnoszą się do téj saméj teoryi? Zabarwiać komu życie wdzięcznym kolorytem jest także lekarstwem.

Rospisawszy się o tem wszystkiem zapomniałam o rzeczach najważniejszych. Na dzisiaj jednak już nie ma dla nich ani miejsca, ani czasu. Bądź więc cierpliwy do jutra i przygotuj się na bardzo miłe wzruszenie. Żegnam cię i polecam opiece Pana Boga i... pana Krzysztofa, jeżeli w tem widzisz taką przyjemność! Do jutra!

P. S. Chciałam w tym liście zasłać pozdrowienie od Flaminii; ale gdym jéj o tem wspomniała, taki dziwny blask strzelił z jéj oczu, że się zmieszałam. Ma ona nadzwyczaj wygórowane wyobrażenie o godności kobiecéj i często karci mnie za to, że z tym lub owym bez należytéj formalności rozmawiam. Ale tutaj trudno zawsze o formalności, osobliwie Włosi są pod tym względem bardzo wygodni. Nie poświęcają dla kobiet najmniéjszéj swojéj wygodny, co bardzo często nawet na niegrzeczność lub obcesowość zarywa. Ale cóż robić, trzeba się do zwyczajów narodowych stosować, na co Flaminia wcale zgodzić się nie chce.

11 listopada.

Różne przeszkody a nawet małe zmartwienia moje nie pozwoliły mi wcześniéj pisać do ciebie. A może się dobrze stało. Tymczasem bowiem odebrałam list twój długi... z pewnemi poetycznemi ustępami, znów ci ktoś bardzo wdzięczny będzie.

List twój ucieszył mnie ale oraz i zasmucił. Masz jakieś dziwne widma przed sobą i posądzasz mnie że ci je z nad Adryatyku nasyłam. Jeżeli tylko o te widma chodzi to jestem o nie spokojna.

Powiadasz że dotąd byłeś spokojny i miałeś tylko przed sobą niepokój pracy. Dzisiaj każdym listem moim zakłócam ci ten spokój moralny, co w pracy twojéj codziennéj jest ci przeszkodą. Powiadasz, że miewasz teraz chwile, w których sam siebie nie poznajesz, a nawet dołączasz z uśmiechem obawę, abyś wierszy nie zaczął pisać! I owszem bardzobym się z tego cieszyła. Nie wymagam od ciebie wierszy, ale chciałabym, aby szary koloryt dotychczasowego twego życia ożywił się jakiemś jaśniejszém światłem meteoru, i aby to światło nie było czarodziejskiem, lub krótko trwającem światłem meteoru ale światłem słońca, które chodzi zawsze nie świeci, ale zawsze daje nam nadzieje nowego poranku!.. Życzenie to moje weź sobie do serca!

A jeżeli chodzi ci o pracę to praca przy takiem słońcu, praca we dwoje idzie zupełnie inaczéj, tem bardziéj, jeżeli to współpracownictwo drugiéj osoby nie będzie bez pewnéj korzyści...

Za ten upór twój w jakimś niewytłomaczonym pessymizmie ukarzę cię dzisiaj i nic ci więcéj nie napiszę. Możesz to samo znaleźć z swojéj strony, poświęcając jak najmniéj miejsca twemu bohaterskiemu wspólnikowi wołów i gorzelni! *Vôtre amie, Elise.*

13 listopada.

Spodziewałam się, że po ostatnich poetycznych elekubracyach sceptycyzmu, (który mówiąc nawiasem wywarł wpływ należyty) napiszesz natychmiast list drugi, który tamto wszystko zmaże do szczętu. I bardzo słusznie. Po cóż życie brać tylko z ciemnéj strony? Flaminia okazała tutaj niemałą domyślność psychologiczną. Gdym jéj (rozumie się z wszelką dyskrecyą) jeden taki ustęp z twego listu odczytała, w którym z goryczą mówisz o braku dzisiejszym wszelkich wyższych, szlachetniéjszych uczuć, w którym słowami nawet *Hejnego* napadasz na biedne kobiety, dla których wszystko a nawet i miłość stała się jakoby zabawką życia tak samo jak kostiumy różno-sezonowe... wykrzyknęła z widocznym przestrachem na twarzy Flaminia!

— Ach! Twój brat zapewne kochał się nieszczęśliwie! Jakże on biedny!...

— Jakto? odrzekłam, czy nie wiesz że taki sceptycyzm może być sztuczny?

Flaminia pomyślała chwilę a potem z ożywioną twarzą odpowiedziała:

— Masz słuszność. Czasami bywa taki skeptycyzm tylko skutkiem wielkich i niezaspokojonych pragnień serca, jak to w poezyach młodych poetów widzimy. Ponieważ nie mogą osiągnąć ideału swego, narzekają na świat i wszystko w nim czarno widzą!

— Czy to samo chcesz zastosować do mego brata? zapytałam z uśmiechem.

Flaminia uderzyła mnie po ramieniu i odwróciła się szybko, abym jéj rumieńca na twarzy nie widziała. Zdradziło ją zwierciadło, o którem nie myślała w téj chwili, że jest przed nią. Gdy potem jeszcze z nią rozmawiałam, wiedziałam że to ostatnie tłumaczenie twego bajronizmu bardzo się jéj spodobało. Była wesoła, a nawet nuciła sobie czasami jakąś piosnkę. Jak widzisz, istny romans! „Adieu-Elise."

17 Listopada.

W ostatnim twoim liście jest wiele dobrych rzeczy prócz... pana Krzysztofa. Znowu bawisz mnie nim, jakbyś nic lepszego nie miał do pisania. Cóż mnie może to obchodzić, że on w kwestyi gorzelni i wypasu wołów jest niedoścignionym i dlatego nieocenionym dla ciebie. Prędzéj wolałabym wiedzieć, co się dzieje z panem Alfonsem, który jak słyszę zgrał się w Monaco i nie ma za co dłużéj starać się o rękę Jadwisi, która przecież tak cicho za mąż nie wyjdzie. Sama mi mówiła, że konkurent jéj musi przynajmniéj na konkury stracić stotysięcy za nim rękę mu odda. Jest to nawet nie zły interes, bo ona za to przyniesie mu dwa kroć. Ale zkąd wziąść téj wkładki stotysięcznéj? Pan Alfons niebiegły jeszcze jak widać w téj rzeczy. Chciał najprzód te sto tysięcy wygrać w ruletę, a potem puścić je na hałaśliwe konkury, które na pannę rzucają zawsze pewną aureolę. Poradź mu tego sposobu, jakiego użył niejeden jego autecessor, to jest: niech na konto posagu panny Jadwigi pożyczy te sto tysięcy. Tak jak znam nasze panny, to najlepszy na nie sposób!

Wracając do twego listu miło mi wyczytać z niego, że za wszelkie nasze tutaj rozrywki i poezye pracujesz tam jako żołnierz stojący na straży oblężonéj wieży. Za to należy ci się nagroda, a ja cieszę się naprzód że nagrodą swoją będziesz, zachwycony. Jestem kobieta, umiem zrozumieć kobietę

i mężczyznę. Wiem dobrze co tam po za frazesem konwencyonalnym lub pod rumieńcem bladéj twarzy się kryje.

Między tobą a Flaminią widzę coraz więcéj występującą na jaw dziwną, nieodgadnioną sympatyą. Gdy czytam twoje listy i słyszę ją rozmawiającą, zdaje mi się nieraz, że poza memi plecami jest między wami jakieś porozumienie. Niepodobna bowiem, aby myśli wasze i wrażenia tak zgodnie obok siebie postępowały. Często wynurzy mi różne żale swoje i smutki, a na drugi dzień to samo czytam w twoim liście, jakbyście wspólne mieli serce i jednemi na świat patrzyli oczami! A jeżeli znowu jaśniejsze światło obaczy w koło siebie i z tego mi się wyspowiada, w najbliższym liście twoim taki sam panuje koloryt! Powiedz mi teraz, zkąd to się bierze? Może ja padam ofiarę waszą mistyfikacyi, może wy śmiejąc się ze mnie, za memi plecami porozumiewacie się z sobą?...

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Klementyna chciała coś odpowiedziéć, lecz w téjże chwili Hedda i pan von Elze wyszli z sali do małego ogródka, gdzie właśnie miała miejsce powyższa rozmowa, i żądali od nich roztrzygnięcia kwestyi na którą się zgodzić nie mogli. Paweł stanął po stronie porucznika, za co usłyszał wymówkę od Heddy, iż morskie powietrze widocznie źle wpływa na jego muzykalne wiadomości.

Rozmowa stała się ogólną, i wieczorem nim się panie oddaliły, ułożono na dzień następny wycieczkę wodną do przylądka wielkiéj wyspy. Potem godzinkę jeszcze posiedzieli panowie przy szklaneczce ponczu, a komendant opowiadał w najlepsze jedną ze swych ulubionych powieści, która miała miejsce przy ujściu Nilu, i zapewne musiała być bardzo zabawną gdyż wszyscy śmieli się serdecznie.

Dla jednego tylko Pawła została ona tajemniczą jak źródła świętéj rzeki: rozmowa z jego piękną kuzynką wprowadziła go w labirynt domysłów i wątpliwości, i jak to zwykło dziać się w labiryntach, na razie drogi wyjścia znaleźć nie umiał.

Rozdział VI.

Myśl owa, że Gustaw jest może zazdrosny o porucznika, która nie wiedziéć zkąd i jak przyszła Pawłowi do głowy, pierwszego poranka gdy z kuzynem na pokładzie Orła śniadanie spożywał, nie opuszczała go odtąd. Co początkowo jakby instynktem przeczuwał, teraz już prawie za pewność uważał, a przekonanie że stosunek pomiędzy jego kuzynem a kuzynką nie był takim jakim życzyłby go sobie serdeczny przyjaciel, było jedynym cieniem rzuconym na jego zresztą tak słoneczne życie na téj wysepce. Paweł, który znał Gustawa tak dobrze jak samego siebie, znalazł go bardzo zmienionym, pomimo że główne cechy jego charakteru pozostały też same. Ta zbytnia dobroduszność, z powodu któréj dawniéj porównywał go Paweł do poczciwego starego brysia, spokój i ciszę nad wszystko lubiącego, zamieniła się teraz w usposobienie posępne. Również zauważał Paweł że stał się on mało uprzejmym w obcowaniu z ludźmi, a głównie względem porucznika, który co prawda często mu dawał do tego ważne powody. Pan von Elze lubił bowiem bawić się kosztem drugich, i chociaż nie można mu było zarzucić by w takich razach był trywialny, lub granice przyzwoitości przekraczał, jednak ten jego sposób żartów nie był dla wszystkich przyjemnym. Owe turnieje mniéj więcéj dowcipne wyprawiał porucznik zawsze tylko w obecności pań, nigdy zaś w samem tylko męzkiem towarzystwie, z czego Paweł wnioskował, że w obec Gustawa i kosztem jego pragnie w ich oczach grać rolę rycerza, przyczem mogłoby się zdarzyć, że małżonka zwyciężonego uwieńczyłaby zwycięzcę. Wszakże tak nie musiało być zawsze, gdyż Hedda pobieżnie, bez żadnéj innéj myśli, rzuciła raz następną uwagę:

— Nie pojmuję co jest przyczyną że panowie tak nieuprzejmy ton względem siebie przybrali. Paweł ani nawet przypuszczał by z innych jakich względów Gustaw mógł być nieszczęśliwym w pożyciu; przeciwnie, oboje pomimo różnicy wieku, gdyż Klementyna o dwadzieścia lat blizko młodszą była od niego, wydawali się jakby stworzeni dla siebie. Równie jak on, była ona skromną, pełną prostoty, a była nią do tego stopnia, że mniéj wprawny lub mniéj uprzejmy badacz, mógłby ją posądzić, że wie dobrze jak jest jéj do twarzy z tym spokojnym i cichym charakterem. Jeżeli np. mało ceniła czytanie, utrzymując że pochłanianie książek rozmaitéj treści, jest z krzywdą własnego myślenia, i jedynie fałszywéj monecie uczuć dogadza, nie było to ani szaleniem, ani gonieniem za oryginalnością, ale najgłębszem jéj przekonaniem. Klementyna mało mieć musi wyobraźni? zapytał raz Paweł Heddy: Jak kto uważa, odpowiedziała zapewne wielką poetką nie jest, nie posiada owego zbytku wyobraźni jaki niektórych ludzi czyni zdolnemi do zapomnienia o rzeczywistem szczęściu lub nieszczęściu bliźnich, w obec wymyślonych cierpień i radości powieściowych bohaterów, ale ma jéj dostatecznie by rozumiéć dolę i niedolę życia ludzkiego, i śpieszyć z współczuciem tam gdzie go potrzebują. Ja o połowę nie jestem tak dobrą, jak Klementyna, a mając upodobania do tysiąca różnych przedmiotów, w obec niéj jestem niczem więcéj jak prawdziwie pustą dziwaczką! I istotnie głównym rysem charakteru Klementyny była miłość bliźniego czynem dowiedziona. Gdy przy czytaniu rzewnego ustępu, oczy Heddy zachodziły łzami, Klementyna zdawała się być obojętną; ale w wypadkach istotnéj potrzeby, daleko więcéj liczyć można było na nią jak na Heddę. Nie dlatego jednak by to dziewczęce serce było mniéj tkliwe, mniéj miłosierne, ale nie miała ona wytrwałości, cierpliwości i powagi Klementynie właściwéj, nie posiadała bystrości w odkrywaniu tych wszystkich mniejszych lub większych cierpień, któremi biedna ludzkość bez przestanku tak jest nękaną. I ta młoda kobieta gotowa każdéj chwili poświęcić się dla drugich, do najmniejszéj nawet przysługi nie rościła sobie prawa, i za każdym razem czerwieniła się jak uczennica, gdy który z panów wyświadczył jéj jedną z tych małych grzeczności, któréj pominięcie byłoby dowodem złego wychowania. Że pod tym względem żadnych nie miała wymagań, dla niéj, jako dla żony Gustawa, wielką to było zaletą, gdyż on zupełnie był obojętny na wszelkie zewnętrzne formy. O ile więcéj wymagającą kobietę nie mógł by zadowolnić swoją prostotą, o tyle bardziéj błyszcząca istota, zamiast go sobie ująć, zniechęciłaby go bezwątpienia; tak więc, wydawali się najzupełniéj dla siebie stworzeni, a różnica wieku zaledwo była widoczną. Jak mogłaś iść za tak niemłodego człowieka moja piękna kuzynko? raz ją zapytał żartobliwie Paweł, w pierwszych jeszcze dniach pobytu swego.

— Ot, tak sobie, z próżności! odrzekła wesoło.

— Z próżności? Nie inaczéj! byłam dumną z wielbiciela który już łysiał około skroni, podczas gdy wszystkie moje przyjaciółki o studentach jeszcze marzyły! Małżeństwo to, skojarzyło się w ten sposób. Klementyna wcześnie bardzo straciła rodziców, a osoba w wieku u któréj na pensyi wraz z Heddą wychowaną była, zastępowała jéj miejsce matki, i wywierała na nią wpływ macierzyński. Osoba ta była ciotką Gustawa. Połączenie ukochanéj swéj uczennicy z siostrzeńcem do którego była bardzo przywiązaną, było jedynem życzeniem wiekowéj pani; złe języki twierdziły, że dla tego tylko pragnie tego małżeństwa, by w ręce jéj siostrzeńca przeszedł majątek młodéj dziewczyny, i przepowiadały, że ten tak niedobrany związek pomiędzy bogatą ośmnastoletnią panienką, a nie majętnym blizko czterdziestoletnim człowiekiem, nie może być szczęśliwy.

A jednak, ta godna osoba miała jedynie na myśli szczęście, li tylko szczęście swoich ukochanych — i w razie gdyby Klementyna była biedną, a Gustaw bogatym, to samo miałaby pragnienie. Co się zaś tyczy różnicy wieku, ta nie mogła być znaczną w oczach wiekowéj pani, która zarówno siwiejącego siostrzeńca, jak kwitnące jasnowłose dziewczę „moje dziecię“ zwała.

Co do głównie interesowanych osób, to wybór ich wzajemny, tak jedno jak i drugie najdokładniéj charakteryzował; Gustaw na swój sposób był szczerym lecz milczącym wielbicielem piękności i dobroci kobiecéj; a Klementyna jako zaledwo podlotek, tak mało na przyszłość uwagi zwracała, że, żart z jakim człowieka w wieku przez próżność wybrała w połowie był prawdą. Ale czyliż małżeństwo, w którem dziewczyna zamienia ławkę szkolną, na miejsce u boku mężczyzny mogącego prawie być jéj ojcem, nie jest lekkomyślnością? Ona, która o świecie nie wie nic więcéj nad to co wychowanka dobrego zakładu wiedziéć może, ona musi niejako zerwać z tym światem, do którego młodość, chęć do życia, i wszystkim ludziom wrodzona konieczność doświadczenia, niepowstrzymanie ciągną.

I oto młoda matka, czuwa nad kolebką pierwszego dziecięcia, podczas gdy towarzyszki jéj wesoło tańczą na balu; a z rzęsisto oświetlonéj sali odgłos muzyki dochodzi do jéj cichego, przyćmionego pokoju, i byłożby to słusznie oskarżać ją, jeżeli nad zawcześnie zgubioną młodością, westchnienia powstrzymać nie może? A jeżeli w obec tych wszystkich drobnych domowych kłopotów, które z niedoświadczenia powstają, rozsądny człowiek będzie się umiał pocieszyć myślą, że i w gospodarstwie natury nie dzieje się inaczéj, że i ptak nawet nie bez trudu gniazdko swoje ściele; jeżeli naturalną znajduje rzeczą, że przekupki czekają tylko na jego żonkę by koszyk jéj służącéj napełnić tem, co już nikt kupić nie chce; jeżeli pojmuje dla czego na utrzymanie domu wydaje tyle, co sędzia dawny jego kolega, ożeniony od lat dziesięciu i mający pół tuzina dzieci, i jeżeli nie niecierpliwi go badający wzrok żony, jakim zaczyna patrzéć na znajomych mężczyzn, i nie wymaga od niéj by na targu życia poznała się prędzéj jak na targu jarzyn i wiktuałów, człowiek posiadający we wszystkiem tak bezwzględną pobłażliwość, musiałby być szczególnym jakimś wyjątkiem! A jednak zabronić żonie porównywania siebie z drugimi, byłoby to wymagać od niéj ślepéj wiary w swoją doskonałość, byłoby zmuszać ją do obłudy, gdyż w takim razie ukrywałaby starannie wrażenie jakie ten lub ów mężczyzna na nią wywiera. Takim sto-

sunkiem zadawalniają się tylko natury pospolite, takie, które odrazu umieją się stosować do każdego położenia. Czem więcéj mężczyzna dzielny jest i samoistny, tem silniejszem będzie dążenie jego do stworzenia życia według własnych pojęć; a jeżeli wszedł w stosunek nad którym poprzednio nie zastanawiał się dostatecznie, to przynajmniéj rozsądkiem swoim stara się go znośnym uczynić. W razie gdy mąż pragnie by żona wybór swój, który właściwie nie był jéj wyborem, w głębi swego przekonania za własny uznała, jedną tylko może iść drogą: musi świat przekonać że żona jego, chociażby była znała wszystkich tych zdolnych, przyjemnych ludzi, których poznaje, i których już poznała w pierwszych latach swojego zamęźcia, i wtedy nawet nie byłaby innego zrobiła wyboru. I tak jak ów rycerz z la Manche, który z każdym gotów był walczyć o niezrównaną piękność swojéj Dulcinei, równie i on powinien rzucić rękawicę całemu męzkiemu światu, na dowód że więcéj nad innych, godzien jest swojéj małżonki.

Zapewne, walka ta jest trudną, a jednak po rycersku stoczyć ją potrzeba, by nie nadeszła chwila w któréj żona patrzałaby na męża, jak na tego, który zarówno pozbawił ją młodzieńczych uciech, jak zawiódł spokój i szczęście jéj lat późniejszych. Czyżby dla Gustawa i Klementyny chwila ta nadeszła? pomyślał Paweł. i czuł że pomimo zgodności ich charakterów, coś w nich obojgu jednak istnieje co chwilę tę o wiele niebezpieczną dla nich, niż dla wielu innych uczyni. Gustaw należał do rzędu tych ludzi, którzy dla ukochanej z ochotą poświęcają życie, ale z niechęcią schylą się po chustkę która jéj upadła; był on z tych, których usta milczą gdy przepełnione serce i dla tego w porę mówić nie umieją. W tym właśnie stosunku do męża wydawała się być Klementyna, i Paweł przekonany był prawie że się nie mylił. Boże mój drogi! jakże często zdarzają się ludzie którzy patrzą w milczeniu, nie rzekłszy i słowa, jak im pierwszy lepszy bezczelny złodziéj z przed oczu szczęście kradnie. I pomimo wszystkiego co dotąd o panu von Elze wiedział, nie był w stanie ani sympatyzować z jego charakterem, ani zgodzić się z jego zasadami: a przekonanie że on do podobnego czynu byłby zdolny, stało się niewzruszonem. I co w istocie wpłynąć mogło na tak zwykle łagodnego, wolnego od przesądów Pawła, by do takiego stopnia usposobić go przeciw człowiekowi, który był dla niego z uprzedzającą grzecznością, któremu nikt nic złego zarzucić nie mógł, człowiekowi który posiadał wiadomości, w różnych gałęziach wiedzy, co u Pawła znaczyło wiele i zasługiwało na jego szacunek, który wreszcie wydawał się niesłusznie od losu prześladowany, a więc raczéj na współczucie niż niechęć zasługujący? Podobnie jak Faust do Gretchen, tak i Paweł mógł sobie powiedzieć: *Nareszcie i ty masz swoją antypatią*; ale Paweł miał zwyczaj, zawsze zdawać sobie sprawę z pociągów swych i wstrętów, a swoje za i przeciw stwierdzać dowodami czego i w tym nie pominął wypadku.

Przez dni czternaście, które spędził na wyspie niejedną miał już z porucznikiem rozmowę i nieraz w obecności innych słyszał zdania jego w przeróżnych przedmiotach; nigdy jednak nie usłyszał słowa które by go za serce chwyciło, nigdy myśli, która by szlachetnością uczuć zajaśniała!

— Nie lubię ludzi, mówił Paweł, którzy o najmniejszą rzecz w zachwyt przesadny wpadają, ale nienawidzę tych, którzy w pewnych okolicznościach, pozostają chłodnymi. Porucznik zawsze był zimny; tego człowieka nie rozgrzewało chyba ani słońce poezyi, ani ciepłe słońce z nieba, a Paweł myślał nieraz: „nawet rozstrojone skrzypce poetycznéj mnie uspasabiają, aniżeli poprawna gra tego człowieka, on gra nie sercem ale oczyma, i rękoma tylko!“ Do tego jednak stopnia Paweł nie był wymagającym, aby od wszystkich ludzi żądać jednakowego usposobienia i uczuciowości, przeciwnie, gdy mu kto powiedział że nie rozumie Bethowena, i nie pojmuje co ludzie tak pięknego znajdują w Szekspirze pomyślał w duszy: cóż robić, i tego rodzaju dziwaki istnieć muszą.

Ale pan von Elze chciał przekonać drugich, że wszystko lepiéj od innych rozumie, a poprostu pozbierał tylko i poukładał zdania cudze i zręcznie bardzo umiał je zastosowywać; tego właśnie znieść nie mógł Paweł i uważał to jeżeli nie za grzech przeciw Duchowi Świętemu, to za przestępstwo przeciw duchowi sztuki. Nietylko w kwestyach poezyi i muzyki różniły się ich zdania. Mówili o polityce, o Schleswig-Holstynie, o wypadkach 1848 r., o czasach obecnych, i o takich które już do historyi należą. Paweł oddawał zupełną słuszność rozległym historycznym wiadomościom porucznika, i w początkach zdziwiony był jego wolnomyślnym sposobem widzenia rzeczy, uważając go prawie, za demokratę i republikanina; ale prędko spostrzegł pomyłkę i poznał w nim najzwyklejszego w świecie arystokratę. Przekonał się, że powstawanie pana von Elze przeciw dworowi i prawu mocniejszego, pochodziło z bardzo mętnego źródła, bo wskutek draśniętéj próżności, i zawiedzionych nadziei nizkiéj, światowej ambicyi. Takim był więc człowiek którego przyjaźń roztropna Klementyna za zaszczyt sobie uważała: który tak zręcznie umiał się wkraść w jéj zaufanie, że w razach kiedy potrzebowała jakiéj porady, najchętniéj do niego się zwracała; ona, małomówna, z nim godzinami całemi żwawo rozmawiała. Serdeczne współczucie jakie miał Paweł dla swojej kuzynki, podwoiło właściwą mu przenikliwość, i tego to człowieka obawiał on się dla szczęścia jéj i spokoju w pożyciu małżeńskiem. Czy to możliwe? pytał samego siebie, a zaraz dodawać musiał: a pod tym względem cóż jest niemożliwem? Jakże często się zdarza że miła, ładna dziewczyna, da się omamić zewnętrznym zaletom rozpustnika, nicponia, człowieka bez żadnéj wartości; jak często uczciwy, szlachetny człowiek, wpadnie w sieci, które zastawi na niego zalotna bez serca kokietka, lub oczarowany zostanie ładną twarzyczką głupiéj istoty, która niewarta nawet być służącą jego dzieci, a cóż dopiero ich matką! Jeden z żartów Heddy dał mi niejako wyjaśnienie téj nierozwiązanéj zagadki. Kiedy powraca twój murzyn? spytała raz Klementyny gdy pan von Elze do miasta popłynął. A któż to jest: murzyn? zapytał Paweł. Wszakże pan von Elze! odparła dziewczyna nie podnosząc oczu od roboty. Pan von Elze murzynem? zawołał Paweł zdziwiony.

— Nie odgadujesz sąsiedzie? rzekła Hedda prostując się i odrzucając z czoła ciemne swych włosów sploty; zapytaj pan Klementynę a zapewni pana że ręce jego są białe i prawdziwie arystokratycznych kształtów; a ja z mojéj strony dodam, że on sam wie o tem najlepiéj. Dla tego zaś nazywam go murzynem Klementyny, bo tak jak Otello poznał, lub może chce przekonać że poznał całego świata zwyczaje i miasta; a Klementyna niby jak Desdemona ze szczególną uwagą lubi słuchać opowiadań o jego bohaterskich czynach. Nie przeczę wcale, odrzekła Klementyna ze zwykłym sobie spokojem, że wyżéj cenię doświadczenie które wykształcony człowiek nabył w ruchliwem swem życiu, jak obrazy wyobraźni, poetycznego marzyciela, że ustnemu sprawozdaniu więcéj daję wiary, niż drukowanym opisom kogoś co przedmiot znał może z opowiadania tylko. Ale, dodała Hedda, ktoś może i kłamać jak z książki! Klementyna odwróciła się do Pawła i rzekła:

— Hedda nie lubi opowiadać z dokładnością i myśli że wszyscy czynią tak samo.

To ujmowanie się młodéj kobiety dobrze rozumiał Paweł, gdyż wiedział że wolą one szukać nauki w życiu aniżeli w książkowéj wiedzy ją czerpać, a Klementyna zwłaszcza dziwną ku książkom przejęta była nieufnością; ale podług niego anegdotki porucznika z jego dworskiego i obozowego życia, ani zasługiwały na gorzką ironią Heddy, ani na Klementyny gorące pochwały; wszelako być może, iż ten człowiek inaczéj wydawał się profanom, a wybranym tylko ukazywał się w całym swym blasku. Jakkolwiekbądź, Paweł na seryo zaniepokojony był względami pana von Elze dla Klementyny i widoczną przyjemnością z jaką je ona przyjmowała. Nie pojmował także obojętności Gustawa z jaką patrzał na wszystko co się w około niego działo, i niemało się dziwił rzadkim pobytom jego na wyspie, co w widocznéj stało sprzeczności tak z obowiązkiem gościnności, jak z jego dawniejszem towarzyskiem usposobieniem, oraz ze szczerem bezwątpienia zapewnieniem że towarzystwo Pawła jast mu przyjemniejszem niż każde inne.

Ktoś co po długiéj niebytności powraca do znajomego kółka, lub jako obcy w nowe wchodzi, zwykle lepiéj i jaśniéj widzi niż ci co w niem dłuższy czas żyją; wzrok jego bowiem, mnóstwem szczegółów niewprowadzony na błędną drogę, tylko ważniejsze obejmuje stosunki, a przede wszystkiem zawsze łatwiéj rozpoznaje to co się stało, niż śledzi za tajemniczą, zwolna potępującą przędzą tego co się dzieje. Tak tłomaczył Paweł swój wewnętrzny niepokój w obec pozornéj swobody i naturalności drugich, gdyż co się tyczy Gustawa okrył on się rodzajem tajemnicy, a młody człowiek słusznie obawiał się zamienić niewinną rolę spokojnego widza, na niebezpieczną rolę pośrednika. Nie sądźmy jednak by Paweł tak odrazu spostrzeżenia swoje zsumował, jak myśmy to uczynili, lub że rezultat tychże każdéj chwili był mu przytomny. Podobne rzeczy tak są trudne do ujęcia jak bicz z piasku Mefistofela z niewidzialnych utworzony ziarnek, a nadto tajemnicza skłonność która bezwiednie w jego sercu kiełkować zaczęła, egoistycznie zawładnęła uwagą i uczuciem jego. Trzebaby mieć czystą duszę żony wysokiego Brahmina, by wzburzone fale życia ująć w kryształową bańkę i z rzeki przynieść do spokojnego domu; cud ten jednak nie udaje się wzruszonéj duszy namiętnego młodzieńca. Dla Pawła strumień życia płynął teraz w całéj sile i pełni, a jak to się zwykle dzieje, elektryczna iskra wybranéj natury, udzielała swego ciepła sercom tych co byli na jéj przebiegu.

— Zdaje mi się, rzekła raz Hedda, że memu sąsiadowi nie powiem większéj grzeczności jak to, że odkąd jest między nami żadne z nas nie nudziło się ani chwili jednéj.

— A czy pierwéj zdarzało się to kiedy? zapytał Paweł. O młodzieńcza skromności! zawołała Hedda, tak jak gdybyś pan nie wiedział że gdy nas opuścisz, wszyscy oczy wypłaczemy! Kto wtedy podtrzymywać będzie ogólną rozmowę, kto tak gorliwie wycieczki i domowe koncerta układać będzie? Kto papie poncz warzyć i pić pomoże, lub świat z kolei wyszły kto z porucznikiem do porządku przyprowadzać będzie? A nade wszystko, ze mną najbiedniejszą kto deklamować zechce „die Tanne fällen, drauf die Adler horsten“ (opadają jodły, a orły gnieżdżą się na nich); albo: „Ich schritt allein hinab in den Rhein“ (I szedłem sam brzegami Renu), a tak często i tak pięknie, że puste nasze zaspy za winogradowe pagórki brałam, a skrzeczenie mew, za we-

soły krzyk sokoła unoszącego się w niebios błękity! Nie zawsze jednak mógł trwać ten spokojny stan rzeczy. Wkrótce nastąpić miały zdarzenia, które pozbawiły Heddę jéj wesołéj swobody, zakłóciły harmonią towarzystwa, a ponure dotąd usposobienie Gustawa, zamieniły w gniew gwałtowny.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Przed przystąpieniem do sprawozdania z dzieła pana Spencera dotyczącego pierwotnéj religii ludzkości, uważamy przede wszystkiem za właściwe wskazać przyczynę nakłaniającą autora do ułożenia powyż wzmiankowanej pracy. Otóż bezpośrednią przyczyną byli pozytywiści, robiący w drugiéj połowie XIX wieku wiele wrzawy we wszystkich państwach europejskich.

Pozytywizm we właściwem znaczeniu tego wyrazu, jest oddziaływaniem przeciwko zbytniéj wybujałości dawniejszéj filozofii niemieckiéj chcącéj à priori tłomaczyć pierwotne przyczyny wszechświata; oprócz tego stara się on ostudzić gorączkę wywołaną przez utwory romantyczne, tworzące świat złudny różny zupełnie od rzeczywistego. W tem znaczeniu uważany pozytywizm stoi niezaprzeczenie przy prawdzie i może wydać bardzo zbawienne owoce. Umysły ludzkie zwrócone od rzeczy niemożliwych i nieujętych do rzeczy możliwych i ujętych, odkryją wiele nowych prawd prowadzących do poznania praw coraz ogólniejszych, a tem samem coraz bliższych pierwotnego źródła. Za ojca dzisiejszego pozytywizmu w ten sposób pojętego, można uważać niemieckiego filozofa Kanta, wykazującego w dziele swem „*krytyka rozumu ludzkiego*" niemożliwość dla istoty skończonej poznać nieskończoność i jéj prawa. Na nieszczęście zasadę choćby najprawdziwszą i najlepszą, ludzie zmienią, przekształcą i uczynią szkodliwą. To samo stało się i z pozytywizmem, pod wpływem kilku ludzi nawet uczonych ale nie mających umysłu prawdziwie filozoficznego, a tem samem przystępujących do przedmiotu z namiętnością, zamiast z rozwagą dojrzałego mędrca. Prace naprzykład pisarza francuzkiego Comta lub angielskiego Buckla, chociaż ułożone z prawdziwym talentem, obrażają jednak główną podstawę pozytywnéj szkoły, biorąc przedmiot do rozbioru z krainy nieujętéj dla rozumu ludzkiego. Zamiast zdobywać coraz wyższe szczeble prawdy posuwając się stopniowo coraz wyżéj, oni wedle dawnego obyczaju, chcą stanąć na wierzchołku wiedzy usiłując zastąpić prawdy religii objawionéj przez prawa podawane przez nich. W téj mierze owi właściwi mniemani tylko pozytywiści wszystkich krajów są do siebie podobni, chociaż zawsze z pewnemi odcieniami: pozytywiści naprzykład warszawscy, radziby obalić głównie jedno wyznanie chrześciańskie, pozostawiając inne w pokoju, gdy tymczasem pozytywiści szczególniéj francuzcy, radziby zniweczyć wszelką wiarę w świat duchowy, opierając wszystko na materyi i na niczem więcéj tylko na materyi.

Zacięta więc walka wypowiedzianą została wszelkiego rodzaju pojęciom religijnym, i napisano tomy obszerne celem wykazania szkodliwych następstw wszelkiéj wiary w świat zazmysłowy. Wedle przekonania niektórych tegoczesnych *mędrców* zowiących się szumnie pozytywistami, a będących właściwie... głupcami, wszystkie religie bez wyjątku począwszy od religii pierwotnéj były dowodem skrzywionych wyobrażeń, poniżenia rozumu ludzkiego i w ogóle moralnego upadku. Jeżeli się nie mylimy, Comte twierdzi śmiało: historya religii jest jednocześnie historyą przesądów rodu ludzkiego. Zwrot pierwotnych ludów ku czci oddawanéj zwierzętom, drzewom, rzekom i t. p. przedmiotom, zdawałby się potwierdzać brak głównego warunku ukazującego choć zdaleka krainę lepszą i doskonalszą, oddziałującą w sposób mniéj lub więcéj skuteczny na moralną poprawę człowieka. Cześć oddawana zwierzętom była powszechna prawie we wszystkich pięciu częściach kuli ziemskiéj: niektóre pokolenia Murzynów w Afryce czczą tygrysa, gdzie indziéj krokodyl uważanym jest za bożka, na północy niedźwiedź używa wielkiéj powagi a w południowéj Afryce żaba ropucha uważaną jest za opiekunkę całych pokoleń.

Ze wszystkich jednak stworzeń żyjących, wąż pozyskał największe uznanie prawie pod wszystkiemi stopniami szerokości geograficznéj. Pan Fergusson napisał dzieło obszerne opowiadając historyą tego płazu w znaczeniu religijnem. Wedle tego autora Izraelici oddawali cześć wężowi przed ogłoszeniem religii o jedynym Bogu Jehowah. Mojżesz dokładał wszelkich usiłowań do zniweczenia tyle błędnych pojęć, czyniąc węża w księgach Genezy uosobieniem wszelkiego zła i nikczemnéj przewrotności. Zniweczenie jednak dawnych wyobrażeń było nadzwyczajnie powolne; Salomon narzeka jeszcze na bałwochwalstwo ludu i dopiero za czasów Ezechiusza dawne wyznanie oparte na czci oddawanéj wężowi, ostatecznie pogrzebanem zostało. Nietylko jednak u ludu hebrajskiego ale i u innych ludów pierwotnych jak naprzykład u Pelazgów, można dostrzedz ślady podobnéj religii opartéj na czczeniu zwierząt a szczególniéj węża. Hellenowie po zwycięzeniu Pelazgów dołożyli wszelkich usiłowań do zniweczenia dawnéj ich religii; godłem owéj walki toczonéj w czasach przedhistorycznych, jest owa legenda o Herkulesie duszącym dwóch węży w kolebce, zaraz po swem urodzeniu. Późniéj jednem uderzeniem miecza ścina on głowę hydry wiecznie odrastającéj, będącéj znamieniem przesądów ludowych trudnych nadzwyczajnie do wykorzenienia. Pomimo ostatecznego zwycięztwa odniesionego przez Hellenów, dawne wyznanie nie było zniweczonem; straciło tylko na znaczeniu urzędowem kryjąc się po ogniskach rodzinnych, łącząc się niejako z obyczajami domowemi. W téj mierze dawni Pelazgowie mieli wiele podobieństwa do ludu litewskiego, który pomimo gorącego przywiązania do religii chrześciańskiéj, otacza liczne pokolenia węży wielkiem poszanowaniem.

W czasach starożytnych wielu znakomitych mężów pochodziło od węży! Ojcem Aleksandra Macedońskiego był wąż, co nietylko nie obrażało Filipa, ale przeciwnie usunięcie siebie na stronę uważał za największy honor. August wedle zwyczaju bardzo zręcznie dokładał wszelkich usiłowań, aby podobne przekonanie wpoić w lud co do swego pochodzenia.

Nietrzeba również zapomnieć o Scypionie Afrykańskim, którego węże miały uchronić od nieuchronnéj zguby znosząc mu obfite pożywienie.

Prawdopodobnie cześć oddawana wężom przeniesioną była jeszcze dawniéj z Etruryi do Rzymu, chociaż urzędownie przesiedloną była z Grecyi do Rzymu na zasadzie uchwały senatu. Opowiadano kiedyś z zupełnem przekonaniem o Eskulapie zamienionym w węża, samą swoją obecnością leczącego chorych i niweczącego zarazę dziesiątkującą ludność od wielu lat.

Jednem słowem znaczenie węży, można dostrzedz pomiędzy wszystkiemi ludami, nietylko w starożytności ale i w wiekach średnich. Krakus nasz zabijający smoka przypomina walkę Hellenów z Pelazgami: niewątpliwie przeto jest symbolem jakiejś ważnéj przemiany społeczno-religijnéj w epoce pierwotnéj budowy państwa. Pan Fergusson opowiada o Lapończykach wierzących w stowarzyszenia węży ulegającycb naczelnikom, dzierżącym władzę nie na zasadzie wyboru ale na zasadzie urodzenia. Nie potrzeba iść aż na kończyny Europy aby usłyszéć podobne opowiadania; w okolicach Sandomierza lud wiejski przekonanym jest o zebraniach węży w czasach oznaczonych, celem odebrania rozkazów od króla mającego gałkę złotą na głowie jako oznakę swéj godności.

Obok węży czczono zazwyczaj drzewa, wedle Fergusona te dwa bożyszcza należały do jednego i tego samego wyznania, są zawsze z sobą połączone jak to stwierdzają liczne świadectwa. Mojżesz jak najwyraźniéj zabrania sadzić drzewa około ołtarza przeznaczonego dla czci jedynego Boga. Osee mówiąc o żydach niewiernych wyraża się w następujący sposób: robili ofiary na wysokich górach paląc kadzidła pod dębami lub topolami. Długi czas drzewo terpentynowe uważane było za święte, ponieważ wedle legendy Abraham w jego cieniu miał rozmawiać z aniołami. W ogóle w czasach starożytnych drzewa miały nadane wielkie znaczenie; każdy prawie odrębny rodzaj poświęcony był innemu z bogów mitologicznych: dąb należał do Jowisza, topola do Herkulesa, myrt do Wenery i t. d.

Od drzew łatwe przejście do rzek i strumieni; do dziś dnia pokolenia dzikie w Ameryce północnéj rzucają przedmioty uważane przez nich za najdroższe, do rzek i jezior celem zjednania łaski ducha tamże mieszkającego. W epoce Cezara mieszkańcy Tuluzy i jéj okolic uważali za święte jezioro leżące w ich posiadłościach i składali mu dary złożone z różnych wyrobów złotych. Chrześcianizm stacząl zaciętą walkę z czcicielami drzew rzek lub jezior, jak o tem można przekonać się odczytując uchwały soborów w piątym wieku. Najgorliwszy apostoł swoich czasów Karol wielki, przepisał surowe kary na upartych czcicieli tworów natury. Przesądy jednak raz zakorzenione w umysły nadzwyczajnie trudno wytępić. Do dziś dnia we Francyi w departamencie Seine et Marne, znajduje się, wedle przekonania ludowego źródło leczące febry i gorączki. Osoby dotknięte temi słabościami zbiegają się z różnych stron czerpać dobroczynną wodę, a w zamian rzucają pieniądze do wnętrza krynicy, mającéj zawierać wedle ogólnego przekonania nadzwyczajne skarby.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum

z końca roku 1878.

(Dokończenie).

Drugą w tymże rodzaju rakietą, najświeższą, bo we wrześniowym zeszycie Ateneum umieszczoną, jest artykuł p. Piotra Chmielowskiego o Listach z podróży A. E. Odyńca, Dzieło to, jak wiadomo, cieszy się słusznie niezmierną popularnością, jako proste, szczere i serdeczne opowiadanie. O podróży Odyńca z Mickiewiczem za granicą w latach

1829—1831. Każdy, nawet drobny szczegół do biografii wielkiego wieszcza ma dla nas wielką wartość, a cóż dopiero opowiadanie jego towarzysza podróży i przyjaciela, który jeszcze sam żyje pomiędzy nami, jako świadek dawno minionéj świetnéj epoki. Pan Chmielowski, pragnąc czemś wsławić swoje ostre pióro krytyczne, wziął się do krytykowania tego dzieła, przykładając do niego miarę wymagań całkiem niestosowną i czyniąc przy tém wycieczki nietylko przeciwko sędziwemu autorowi, ale nawet i ubliżające pamięci wielkiego wieszcza. Ostatecznie więc jest to wypływ tych samych dążeń *trzeźwych*, znajdujących zadowolnienie w „strącaniu z piedestałów dawnych bożyszcz“ w nicowaniu i przedrzeźnianiu wielkich postaci, które pomimo wad i słabości, zawsze jeszcze są olbrzymami, przerastającemi o wiele dzisiejszych pigmeów, swoich zoilów i arystarchów. Stosujemy to do Mickiewicza, gdyż praca p. Chmielowskiego, ułożona zręcznie, wymierzoną jest głównie przeciwko wieszczowi, twórcy i naczelnikowi poezyi spółczesnéj: jest to więc niejako późny odgłos wycieczek księdza F. K. przeciwko nienawistnemu młodéj prasie „romantyzmowi,“ pod które to miano wtłacza się to wszystko, co nie podoba się pozytywistom. Ale rozbierzmy wystąpienie p. Chmielowskiego, zestawiając własne jego słowa.

O samym Odyńcu pan Chm. mówi, jako o człowieku „bez głębokich przekonań,“ „umysłowości średniéj,“ który nie umiał ani prowadzić rozmów poważnych ani ich zrozumieć; skwapliwie notując żartobliwe wyrażenia Odyńca o sobie, że jedyną jego erudycyą były powieści Walterskota i że w bibliotece „stał jak baran,“ recenzent niemal że istotnie wystawia go nam, jako tego ostatniego... Korsak i Chodźko, do których listy Odyńca były pisane, wychodzą nielepiéj z pod pióra recenzenta. Zmierza to wszystko niby ku temu, że tacy ludzie nie byli w stanie pojąć i ocenić Mickiewicza. Chociaż to sąd za ostry, a poufne listy do przyjaciół, po większéj części żartobliwe, nie są przecie wykładem estetyki ani rozbiorem twórczości poetyckiéj Mickiewicza, czytelnik gotów pomyśléć że może to i prawda, może pan Chm. oburza się słusznie, że w listach do Korsaka i Chodźki Odyniec wystawił Mickiewicza zbyt poziomym, ze strony zbyt prozaicznéj, bo inaczéj nie mógł; ale wczytując się uważnie w dalsze rozdziały pracy pana Chm. dochodzimy do przekonania, że podobno istotnie Mickiewicz była to natura niezbyt poetyczna, pełna wad, i co więcéj, *bardzo miernego* wykształcenia i o słabym zapasie wiadomości, tak pod względem ilościowym jak i pod względem kierunku.

Tak przede wszystkiem drwi sobie recenzent z mistycyzmu Mickiewicza, z szyderstwem przytaczając historyą o odgadywaniu przez Adama właścicielek pierścionków w domu Getego w Wejmarze (Aten. wrzesień str. 559). Naigrawa się daléj z proroczych widzeń przyszłości, a nawet z tego, co Adam mówił *o natchnieniu*, będąc dobrze świadomym téj rzeczy, gdyż sam doznawał natchnienia w obec świadków, czego chyba pan Chm. nie zaprzeczy. Czytamy daléj, że Mickiewicz „nie posiadał znajomości filozofii ani wtedy ani we 12 lat późniéj,“ że „miał wstręt do ścisłego rozumowania i wiódł życie rozproszone“ (str. 561). Nie posiadając przygotowania do rozpraw naukowych, Adam, według pana Chm. zbywał wszelkie dysputy żartami, urwanemi zdaniami lub dowolnemi przypuszczeniami (tamże).

Wywleka też recenzent na pośmiewisko „Historyą przyszłości“ Mickiewicza, ale podobno błędnie uważa ustęp o Gazecie Szawelskiéj (Dzieł. Mick. t. VI Wyd. paryzkie) za ustęp z téj historyi, która prawdopodobnie była igraszką lub wcieleniem pragnień poety; rzecz zaś o Gazecie Szawelskiéj jest, jeżeli ją czytał p. Chm. satyrą na emigracyą. Mistycyzm, romantyzm, fantazya i uczucie, oto wady które pan Chm. na każdym kroku wyrzuca Mickiewiczowi, gdyż te, jak powiada „górowały w Adamie nad ścisłym rozumem i zapanowały nad jego umysłowością“ (str. 565). Szczególniéj charakterystycznem dla dążności pana Chm. ku poniżeniu Mickiewicza jest to wszystko, co czytamy w jego artykule o stosunkach Mickiewicza z Getem. W obec sędziwego wieszcza wejmarskiego Mickiewicz, według pana Chm. był dzieckiem nietylko pod względem wieku, ale i jako poeta i jako myśliciel i jako uczony. Gete widział w Mickiewiczu „widmo swojéj młodości;“ literatura polska musiała wydać się Getemu młodzieńczą, jeżeli ceniła jeszcze to wszystko, co u niego od lat trzydziestu „w lekceważeniu pozostawało“ (str. 566). Nie powiedział tego wprawdzie Gete, ani też nie pisze o tem Odyniec, ale pan Chm. radby narzucić ten pogląd Getemu i zdaje mu się że odgaduje myśli Starego wieszcza, troskliwie, z drobiazgową w kierunku powyższym krytyką zestawiając całe zachowanie się Getego wzdlędem Mickiewicza. A jednak owa literatura polska, którą pan Chm. każe Getemu lekceważyć, już wtedy miała na czele swem Mickiewicza, którego większa część utworów już była szeroko znaną. Daléj pan Chm. zwraca naszą uwagę że Gete wielce lekceważył: i samego Mickiewicza (o Odyńcu nie ma co mówić), że w ciągu dwutygodniowego pobytu poetów naszych w Wejmarze prawie nie rozmawiał z nimi, „bo i o czemże zresztą mógłby z nimi szerzéj rozmawiać;“ Mickiewicz w rozprawach poważnych „posiłkował się zwykle ogólnikami,“ „brakło mu wiadomości ścisłych;“ to też na podstawie samych listów Odyńca pan Chm. twierdzi, że Mickiewicz najczęściéj milczał i że tylko sam Odyniec zachwyca się rozmowami Adama, ale czytelnik „zachwytu tego nie podziela“ (str. 568—569). Zręcznie obudza daléj pan Chm. powątpiewanie co do uczoności i geniuszu Mickiewicza tym faktem, że Zygmunt Krasiński, młodzieniec *bystry* dopiero aż po *jedenastu dniach* znajomości uznałMickiewicza za „ideał człowieka uczonego i geniuszu pełnego“ (str. 572). Daléj znajdujemy rzeczy jeszcze ciekawsze. Mickiewicz, powiada pan Chm., lubił czasem „wylewy swobodne, *rubaszne*, jowialne, nie mające w sobie ani *humoru* ani subtelnego komizmu“ (str. 574). Wspomina się daléj z przekąsem o *bałwochwalstwie*, z jakiem Adam uwielbiał przyrodę Litwy; ta miłość, według pana Chm., „miała coś w sobie z *parafiańskich* przyzwyczajeń“ co stwierdza się dwiącemi przytoczeniami o szołtonosach (pierogach z sérem) i zamiłowaniu do karczem żydowskich, „w których kozy siano z łóżka wyciągają“ (str. 575). Przechodząc nakoniec do pobytu Mickiewicza we Włoszech i w Rzymie, pan Chm. gromi go za próżniactwo, gdyż „nie zbierał on mchów ani porostów, nie badał skał“ i t. d. bo „był zanadto wspomnieniami kraju przejęty“ (str. 575), zkąd wynika że to przejęcie się było nagannem. W Rzymie „Mickiewicz przeczytawszy kawałek Liwiusza, a Odyniec, Gibbona, *spełnili* niejako formalność wzięcia książki do ręki w stolicy i żyli już potem tylko nazewnątrz“ (str. 576). O tem życiu nazewnątrz wspomina jeszcze w zakończeniu pan. Chm. że „nie posiadało ono żadnego uroku“ i natrąca jeszcze o „trywialnych rysach charakteru Mickiewicza...

Tak więc, streściwszy te wszystkie rysy, które wybraliśmy z pracy pana Chm. i przytoczyli własnemi jego słowy, wizerunek Mickiewicza, skreślony przez krytyka listów Odyńca, będzie mniéj więcéj taki: Mickiewicz był to marzyciel i mistyk, nie posiadający żadnych gruntownych wiadomości naukowych, pozbawiony niemal zdrowego sądu, bawiący się na seryo fatałaszkami, jak odgadywanie pierścionków i mrzonkami jak historya przyszłości, nie umiejący prowadzić żadnéj rozmowy poważnéj, niechętny do pracy, prowadzący życie nazewnątrz próżniacze, pełny parafiańskiego uwielbienia dla Litwy, jéj przyrody i zwyczajów, niepotrzebnie zaprzątniony wspomnieniami kraju, przytem często rubaszny bez dowcipu i trywialny. Jakto, zapytamy zdumieni, i taki człowiek stanął w dziejach literatury jak olbrzym na rozdrożu dwóch epok, pozyskał na długie wieki uwielbienie, jako poeta i jako człowiek, słynął wreszcie między spółczesnymi z głębokiéj i wszechstronnéj uczoności? Ha, widać wszyscy przez lat przeszło 50 byli w błędzie, i dopiero pan Piotr Chmielowski otwiera nam oczy, strącając z piedestału nietylko Odyńca, którego wystawia niby jakieś fałszywe bożyszcze, mówiąc z przekąsem o „kulcie i kapłanach(?) Odyńca“ (str. 550)... Na końcu zwrócimy uwagę pana Chm. (jeśli to czytać będzie) że są wykroczeniami przeciwko czystości języka takie wyrażenia: „jakoś *nieswojo* się robi (str. 559),“ zacieklі *ortodoksi* i *zauważyć* (str. 565).

Ś.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami odnoszący się do N-rów 14 i 15.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, Марта 27 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Pozwól mi pani, podzielać twoje zmartwienie, rzekł cicho; może będę mógł je osłodzić, bez względu jakie być może.

Marya już nie płakała, ale obawy jéj i niepokój wzmagały się jeszcze. Tak była wzruszona iż nie miała siły odpowiedzieć; ręce jéj drżały.

— Jesteś pani bardzo cierpiąca... albo bardzo rozdrażniona, mówił daléj; co pani jest?

— O! powiedz mi pan prawdę o tém nocném zajściu! wyjąkała nareszcie; ta niepewność mnie zabija!

— Czy prawdę do mnie się odnoszącą?

— O! nie! nigdy nie wątpiłam o panu. Wiem że jesteś najlepszym, najszlachetniejszym przyjacielem, nie chciałeś nic mówić i przyjąłeś na siebie winę innego, aby od niego odwrócić podejrzenie. Wiem że to Wilfrid zakradł się w nocy do Hallu, a Tiffle wzięła go za pana.

— Nie, miss Maryo, Tiffle ma za dobre oczy żeby się mogła omylić; ona rzeczywiście mnie widziała.

— A! gdybyś pan mógł wiedzieć jak straszny niepokój mną miota, nie igrałbyś z tak bezmierną boleścią, panie Lydney. Żądałeś pan kiedyś żebym ci ufała ślepo, i wierzę też w twoją prawość i szlachetność, tak zupełnie i nieograniczenie jak gdybyś był moim bratem. Czy i pan nie powinienbyś mi zaufać i odkryć całą prawdę? Wiem że Wilfrid znajdował się pomiędzy napastnikami—cóż go do tego skłaniało?

Widząc że wie już za wiele, opowiedział całe zdarzenie. Słuchała go z gwałtowném biciem serca.

— Alež jakiż mógł miéć do tego powód? pytała. Niepodobna mi przypuścić żeby mu szło o srebra... chybaby zupełnie rozum stracił.

— Nie, nie myślał o srebrach, i właśnie dla tego wszystko się odkryło, że nie dozwalał wspólnikom dotknąć się niczego. Czy przypominasz sobie pani owe domaganie się Wilfrida, któremu squir Lester nie chciał uczynić zadość.

— A! owa darowizna! zawołała Marya, i w téj chwili zrozumiała wszystko. Więc o ten akt chodziło?.. Czy go zabrał?

— Tak, ale pan Lester nic jeszcze o tém nie wie, w przeciwnym razie odgadłby od razu kto jest prawdziwym winowajcą.

— Ach! teraz rozumiem, zawołała. I pan poświęcasz siebie... i tak bez skargi znosisz wszystko... Ach! nigdy nie zdołamy uiścić się z tego długu wdzięczności.

Lekki uśmiech przemknął po ustach Lydney'a.

— Przyjdzie może chwila w której upomnę się o nagrodę, rzekł, teraz tylko błagam panią bądź spokojna i z ufnością spoglądaj w przyszłość. Jest ktoś równie znakomitego rodu jak lord Dane i równe posiadający wpływy i władzę, który wziął do serca położenie Wilfrida, i postanowił uwolnić go nadal tak od wszelkich kłopotów w ogóle jak i od obecnéj sprawy—i bądź pani pewna że tego dokona.

— Mówisz pan to o sobie?

— Nie, ja jestem tylko wykonawcą jego woli. Zaufaj mi, miss Lester i bądź zupełnie spokojna... wierzaj, Maryo, nie byłbym zdolny łudzić cię płonną nadzieją.

— Ale jakże pan potrafisz wywikłać się z tego, przecież niepodobna abyś pozostał pod takim zarzutem?... Wypuszczono pana za kaucyą?

— Nie, uspokój się pani, odrzekł z uśmiechem, jestem najzupełniéj wolny, bez żadnych zastrzeżeń. Ale nie zapominaj o tém, że dotąd nikt w Danesheld nie wie iż Wilfrid należał do nocnego napadu; bądź więc ostrożną i nie wymów ani jednego słówka, mogącego wzbudzić podejrzenia. Najlepiéj nawet, Maryo, staraj się sama zapomniéć o tém.

— A! chciałabym...

— Ale nie obiecujesz tego... Pomyśl tylko, Maryo, jestże to tak trudno skoro zaręczam ci że możesz być zupełnie spokojną, szepnął czule. Mam nadzieję iż późniéj nie raz będziesz miéć sposobność dawać mi dowody większego zaufania.

Słowa te przypomniały jéj nagle smutną rzeczywistość, i lica jéj silnym pokryły się rumieńcem. Pojmowała na jakie wystawiłaby się zarzuty i ostre nagany, gdyby przypadkiem ktoś zobaczył ją przechadzającą się z panem Lydney. Nie znała zupełnie ani jego stanowiska ani pochodzenia, nie wiedziała nic co on za jeden, i tylko własne serce upewniało ją o jego zacności i prawości. Ufała mu, ale nie chciała pomiatać opinią i narażać się na potwarz i plotki.

— Niezadługo, może za kilkanaście godzin, będę już mógł mówić z panem Lester, czy upoważniasz mnie do tego, Maryo?

— Mówić z moim ojcem? zapytała, nie rozumiejąc.

— Tak mówić z nim o tobie. Ponieważ—jak to powiedział Wilfrid—lord Dane zamierza niezwłocznie oświadczyć się o twoją rękę, pragnę go uprzedzić abyś mogła swobodnie wybrać jednego z nas.

Ujął jéj rękę. Pomimo wielkiego pomieszania, Marya uczuła jakby dreszcz szczęścia przebiegający ją na wskroś. Przycisnęła ręką serce, aby powstrzymać jego bicie—i nagle odwróciła głowę usłyszawszy po za sobą jakieś kroki.

Był to lord Dane.

Korzystając z zamieszania przy wstawaniu od stołu, Jego Wielmożność wymknął się niespostrzeżenie. Był jakoś nie w wesołém usposobieniu, wybrał więc do powrotu do pałacu, samotną ścieżkę wśród lasu.

Niepodobna opisać osłupienia i oburzenia jakiém został przejęty, poznawszy w odwracającym się owego zuchwałego śmiałka wypuszczonego na wolność, który patrzył na niego z przesadnym spokojem, a w młodéj stojącéj koło niego kobiecie—miss Lester. Zakłopotana Marya, wyszeptała że dopiero co rozstała się z Wilfridem, a lord Dane odparł wyniosłym tonem iż odprowadzi ją do domu. Ale właśnie gdy chciał podać jéj rękę, pan Lydney przysunął się bez ceremonii i uprzedził go.

— Daruj lordzie Dane, ale postanowiłem sam odprowadzić miss Lester.

— Nie waż się pan dotykać jéj ręki! krzyknął lord Dane siniejąc z gniewu, a zwracając się do miss Lester, dodał:—Miss Maryo, czy nie pojmujesz sama jak się z tém poniżasz?...

Pojmując fałszywe swoje stanowisko, Marya, zmieszana nad wszelki wyraz, chciała odejść sama.

— Doprawdy, mówił daléj lord Dane, zaczynam wierzyć w obelżywe pogłoski obiegające od pewnego czasu w Danesheld. Wszak zaczynają już mówić, że ten człowiek, ten awanturnik, ten złodziej zamierzający dokonać gwałtownéj kradzieży—potrafił do do tego stopnia pozyskać zaufanie miss Lester, że zapomina o swéj godności i skromności kobiecéj i poniża się aż do tajemnego z nim się widywania.

— Ponieważ Wasza Wielmożność sam wywołałeś tę kwestyę, więc uważam sobie za obowiązek wyznać iż rzeczywiście najmilszém, najdroższém mojém marzeniem jest pozyskanie zaufania miss Lester... oraz jéj serca i... ręki, odrzekł pan Lydney z najzimniejszą krwią. Jeźliby te marzenia mogły się ziścić, miss Lester znalazłaby nareszcie spokój i szczęście... i może przyjdzie do tego że nie będzie potrzebowała wahać się w wyborze między mną a Waszą Wielmożnością.

— Maryo! krzyknął lord Dane drżącym głosem, z zaiskrzonemi oczami, czyż zniesiesz w milczeniu tak straszną zniewagę!... Mnie podnosić jéj nie wypada, ale pozwól mi zwrócić swoją uwagę że słowa te są największą obelgą dla téj co ma w przyszłości nazywać się lady Dane!

— Nie, w słowach moich nie ma nic ubliżającego, i wierzaj mi, miss Lester, jest właśnie najgorętszém mojém życzeniem abyś została lady Dane.

Marya zadrżała. Lord Dane uważał to odezwanie się za jakieś zuchwałe szyderstwo, byłby chętnie zgniótł go na miazgę, ale wtedy właśnie doszli do Hall, i Marya zobaczywszy drzwi otwarte, wysunęła rękę opartą na ramieniu Lydney'a, i wbiegła prędko do przedpokoju.

Pan Lydney pobiegł śpiesznie drogą prowadzącą przez lasek do *Gospody Marynarzy* nie troszcząc się bynajmniéj że Wilfrid czeka na niego, gdyż pragnął jak najprędzéj rozmówić się z ojcem.

Lord Dane wściekłym miotany gniewem zwrócił się ku pałacowi, poprzysięgając sobie że, bądź co bądź, nazajutrz uwolni Danesheld od tego niebezpiecznego awanturnika.

Rozdział XV.

Zasiew i plon.

Gdy, nad wyraz pomieszana Marya, wpadła do przedpokoju, potrąciła aż lady Adelajdę i pana Apperly.

Adwokat przybył do Hall z nader ważném i nieco tajemniczém poselstwem. Prosił lady Adelajdy aby raczyła udać się z nim do *Gospody Marynarzy* gdzie pragnie koniecznie widziéć się z nią pewien chory gentleman „dawny dobry jéj znajomy.“

Lady Adelajda z początku zadziwiła się bardzo, w końcu jednak postanowiła pójść z adwokatem, bo przyszło jéj na myśl że tym tajemniczym cudzo-

ziemcem musi zapewne być brat jéj, lord Irkdale, którego jakieś szaleństwa i wybryki, musiały przywieść do rozpaczliwego położenia.

Połajała surowo Maryę że tak późno wraca od miss Bordillion, i zapytała kto ją odprowadził.

Zapytanie postawione było tak wyraźnie, iż Marya nie mogła nie odpowiedziéć, a nie śmiejąc wymienić Wilfrida, odrzekła krótko: „Pan Lydney.“

Lady Adelajda zmarszczyła brwi z pogardliwą litością i wyszła.

„Gdyby miss Lester była moją córką, rzekła do pana Apperly, kazałabym jéj zmienić swoje postępowanie, ale nie mam żadnego prawa do miss Lester i umywam od tego ręce. Wolno jéj zapominać co winna swemu urodzeniu i stanowisku, zarówno jak to czyni brat jéj—kiedy taka jéj wola... Cóż mnie to obchodzi!

— Ale doprawdy, pojąć nie mogę, jak wy, panowie, prawnicy i urzędnicy policyjni, mogliście podobnego człowieka uwolnić za kaucyą.

— Zapewniano mnie że zachodziły ważne wątpliwości co do jego współudziału w owym napadzie na dom państwa, lady Adelajdo; co zaś do owéj pogłoski... że stara się o rękę miss Lester....

— Zdaje mi się że najlepiéj nie mów pan o tém w mojéj obecności, przerwała wyniośle lady Adelajda.

— Daruj, milady, ale chciałem tylko powiedziéć, iż, mojem zdaniem, miss Lester mogłaby...

— Co takiego?

— Trafić daleko gorzéj.

Lady Adelajda nie raczyła odpowiedziéć, i tylko zniecierpliwiona pociągnęła szal na ramiona.

— Wszystko mi się zdaje, że to brat mój, lord Irkdale, powziął tak nie szczególny pomysł, aby mnie zmuszać do wychodzenia o tak niestosownéj porze, rzekła po chwili. Bardzo to do niego podobne; pewnie wplątał się w jakąś niebezpieczną sprawkę—i nie śmie się pokazywać.

Wchodząc do pokoju chorego w *Gospodzie Marynarzy*, lady Adelajda spostrzegła tylko Williama Lydney. Widząc że postąpił ku niéj chcąc ją powitać, zawołała z gniewem, oburzona jego zuchwalstwem.

— Jakto!... więc to pan ośmieliłeś się...

— To ja kazałem cię prosić, lady Adelajdo.

Usłyszawszy ten głos, lady Adelajda zadrżała. Zdawało jéj się że nagle ujrzała widmo Harrego Dane, przerażona krzyknęła z przestrachu i byłaby upadła gdyby ją Lydney nie powstrzymał. Doprowadził ją do krzesła i wyszedł z pokoju.

Przygnieciona ciężarem wstydu i wyrzutów sumienia, lady Adelajda ukrywszy twarz w dłoniach głosem przerywanym głośném łkaniem, błagała lorda Dane o przebaczenie. W pierwszych chwilach przestrachu i pomięszania, wypowiedziała kilkanaście słów, przekonywających go o tém co odgadywał już z opowiadania Zofii i Ravensbirda; że owéj fatalnéj nocy poznała jego i Herberta ucierających się z sobą, i że przysięga jaką wykonała tak uroczyście w obec lorda Dane, była fałszywą.

— Życie moje od owéj chwili, było jedną długą męczarnią. Straszna obawa aby nie wykryto prawdy dręczyła mnie nieustannie... Ach! nie cierpiałabym więcéj gdyby mnie nawet skazano na galery za krzywo-przysięztwo... We dnie i w nocy okropna ta myśl tkwiła mi w umyśle, prześladowała we śnie, nie dawała chwili spokoju... A to okropnie!...

Lord Dane słuchał siedząc o parę kroków od niéj.

„Nie dość na tém, mówiła daléj, wyrzucałam sobie jeszcze, że poniekąd i ja winną jestem twéj śmierci, bo gdybym była w pierwszéj zaraz chwili powiedziała prawdę, może jeszcze zdołanoby cię uratować. Miłość moja dla Herberta Dane skłoniła mnie do milczenia. Niestety! nim godzina upłynęła, zrozumiałam już całą niegodziwość mego postąpienia... ale było już zapóźno... musiałam przysiądz fałszywie...

— Taka tajemnica, to straszny do dźwigania ciężar, Adelajdo!

— Tak straszny że mnie uczynił najnędzniejszą z kobiet... przeklętą istotą! A! nigdy nie pojmiesz com przecierpiała... Zważ tylko coby mnie czekało gdyby prawda się wykryła.. mnie wspólniczkę zbrodni. Myśl ta jakby szponami mózg mój szarpała, paliła serce, chciałam ją odegnać, uciec przed nią, nie mogłam!... Najmniejszy szelest przejmował mnie dreszczem. Probowałam zapomniéć, ogłuszyć się zabawą; goniłam za uciechami—daremnie! O! Harry ty nie możesz miéć pojęcia o podobnych męczarniach! ty nie możesz nawet wyobrazić sobie takiéj tajonéj trwogi... że lada chwila mogą się dowiedziéć i dowieść nam strasznéj zbrodni. W nocy budziłam się nagle przeraźliwe wydając krzyki, sam sen jakiś okropny mnie dręczył. I mąż i wszyscy w domu mniemają że cierpię jakieś konwulsyjne napady. A! ta przeszłość strasznym przygniotła mnie ciężarem! okropna owa tajemnica...

— Czy Herbert zmuszał cię do jéj zachowania?

— Nie, on do téj chwili nie wie żem was obu poznała. Może się tego domyślał, ale nic nie wiedział o tém odemnie... Zresztą od owéj chwili prawie się z nim nie widywałam.

— Tak więc moja śmierć mniemana nie przyczyniła się nawet do twego szczęścia, Adelajdo?

Jęk boleści wydarł się z jéj piersi. Ona szczęśliwa! Dni jéj — jak to już powiedziała — były tylko długiém pasmem udręczeń, a ciągła trwoga i wyrzuty sumienia (bo nie był to żal) uczyniły z niej najnędzniejszą istotę, zimną, okrutną, samolubną i bez serca.

— A czyjaż to wina, jeżeli nie twoja Adelajdo? Gdyby nie twoje wiarołomstwo, nie byłbym...

— Harry, przez litość! przerwała, po co przywoływać przeszłość.

— Tak, jest to już przeszłość, i dla tego właśnie możemy o niéj mówić teraz, kiedy wszystkie marzenia nasze ustąpiły miejsca zimnéj rzeczywistości. Jestem starszym nad mój wiek Adelajdo, i umieram powolną śmiercią w skutek nieuleczonéj choroby; ty jesteś żoną i matką...

— Kto to powiedział że jesteś tak blizkim śmierci? zapytała podnosząc głowę.

— Ja sam, doktorzy, ubytek sił, wszystko mi mówi o tém. Nic zwodniejszego jak moja pozorna siła... jest ona równie fałszywą jak ty kiedyś, Adelajdo.

Już tylko błagalnym ruchem ręki prosiła go o litość.

— Dla czego mnie oszukiwałaś? Każde twoje słowo, każdy twój ruch pokrywał zdradę—jak dowiedziałem się o tém, zapóźno niestety! Więc tak namiętnie kochałaś Herberta... Jednak nie chciałaś go zaślubić następnie; ale nie dziwię się temu skoro uważałaś go za mordercę. Czy miłość twoja dla niego znikła zaraz téj nocy?

— Nie tak to łatwo wyrugować miłość z serca które opanowała wszechwładnie. Nie wiem nawet czy nie kochałam jeszcze Herberta kiedy tu wrócił po dziesięcioletniéj nieobecności. Jest to jedyne czyste i prawdziwe uczucie jakie zrodziło się kiedykolwiek w mojém sercu, i rządziło mną wszechwładnie.

— A jednak zaślubiłaś Jerzego Lester.

— Cóż miałam czynić? Zdawało mi się to znośniejszém nad zakopanie się na całe życie w głębi Szkocyi. Był dla mnie zawsze dobrym i pobłażliwym mężem.

— Zbyt pobłażliwym jak mi mówiono... bezporównania pobłażliwszym niż dla dzieci biednéj Katarzyny Bordillion.

— Lord Dane mówiąc to utkwił w niéj zimne i surowe spojrzenie. Twarz lady Adelajdy pokryła się palącym rumieńcem, teraz dopiero przedstawiła jéj się cała szkarada, cała niegodziwość jéj postępowania z dziećmi pana Lester.

— Czy mi nie powiesz jakim sposobem zostałeś uratowanym? zapytała nie podnosząc oczu.

— I jakim sposobem odkryłem twoją zdradę; przyczynę tego nieszczęśliwego wypadku, odpowiedział, nie chcąc widocznie jéj oszczędzać. Czy możesz przenieść się myślą w owe czasy?

— Czy ja mogłam zapomniéć!... te wspomnienia dręczyły mnie bezustanku przez długie lata.

— Dowiedziałem się że Adelajda Erol, którą kochałem tak głęboką; tak czystą miłością, zdradza mnie i oszukuje, że jakkolwiek przysięgała mi że jestem jedynym przedmiotem jéj miłości, całe swe serce oddała Herbertowi Dane. Powiedziano mi że codzień wieczorem wybiegasz na skaliste wybrzeże, i tam się z nim spotykasz. Nie chciałem zrazu uwierzyć temu, i pod wpływem oburzenia skrzywdziłem tego który mnie przestrzegał ale przechodząc tegoż samego dnia rano z półkownikiem Moneton przez ruiny kaplicy, znalazłem różową kokardę ozdobioną perłami, którą miałaś na sobie poprzedniego dnia przy obiedzie. Nie mogłem dłużéj wątpić, byłaś tam z Herbertem Dane. W téj chwili otworzyły mi się oczy i postanowiłem zwrócić na ciebie baczną uwagę. Może przypominasz sobie że tego dnia wróciłem niespodziewanie na obiad, kiedy sądzono że znajduję się na pokładzie *Perły*? Przez całe popołudnie znosiłem straszne katusze moralne, i nie byłem usposobionym do rozmowy z Monetonem, przeciągającéj się zwykle przy kieliszku, jednak zaraz po obiedzie, wyszedłem z pałacu, aby go pożegnać na pokładzie yachtu, który miał wkrótce odpłynąć. Na skalistem wybrzeżu, gdzie udałem się naprzód, spotkałem kramarza, który zaczął mnie nudzić abym kupił coś od niego. Odpowiedziałem mu ostro, zbyt ostro, wyznaję, bo byłem do najwyższego stopnia wzburzony, zły i nieusposobiony do cierpliwości. Kramarz podniósł także głos i zaczął mi się odcinać zuchwale, pogroziłem mu wtenczas że przywołam służbę z pałacu, i każę go zaprowadzić do więzienia: przestraszony tém, uciekł co mu sił starczyło. Udałem się wtenczas do wnętrza ruin kaplicy, chciałem miéć dowody na to co mi powiedziano, i postanowiłem czekać tam na nie.

Lord Dane zatrzymał się na chwilę, ale nie spuścił oczu z lady Adelajdy. Zakryła znów twarz rękami, i odpowiedziała tylko przytłumionym jękiem.

— Przyszedł... wsuwając się ostrożnie do wnętrza ruin. Tak silnie drżałem z oburzenia, że jakiś ruch pomimowolny zdradził moją obecność. Nie zamierzałem żądać od niego tłomaczenia zaraz w téj chwili, postanowiłem odłożyć to na później, i w tym celu uwiadomiłem go już przedtém, że będę u niego wieczorem. Posłyszał szmer i zapytał cicho: Czy to ty moja ukochana?“ Domyślasz się zapewne, lady Adelajdo, jakie mną wten-

czas owładnęło uczucie, wszystka krew zbiegła mi się do serca i oszalały z gniewu wybiegłem z ukrycia, obsypując go wyrzutami i znieważając słowami. Nazwałem go podłym zdrajcą, i wyznaję że ja uderzyłem go pierwszy; to dało powód do wspólnéj walki, i... zepchnął mnie ze skały.

— Czy uczynił to rozmyślnie? wyrzekła podnosząc trochę głowę.

— Nie, nie sądzę. Byliśmy obydwaj zbyt wzburzeni, abyśmy mogli zdać sobie z tego sprawę że stoimy nad brzegiem przepaści. Mnie ten wypadek pozbawił zupełnie czucia, on zaś bezwątpienia uciekł o ile mógł najśpieszniéj.

— Ale jakimże sposobem zostałeś uratowanym? Michał, strażnik celny, odszedł od ciebie, z tém przekonaniem że już nie żyjesz, a przypływ morza już się rozpoczął.

— Zostałem ocalonym dzięki zbiegowi okoliczności, w których widocznym jest palec Boży, lady Adelajdo, odpowiedział lord Dane z wyrazem głębokiego przekonania. Półkownikowi Moneton było przykro że nie pożegnał się ze mną, i kiedy yacht jego przepływał naprzeciwko skalistego wybrzeża, kazał spuścić z niego szalupę, do któréj wsiadł z jednym z majtków, i popłynął do lądu z zamiarem udania się do zamku i uściśnienia mi raz jeszcze ręki, i przyznaj sama czy to nie cudowny zbieg okoliczności—przybił do brzegu w tém właśnie miejscu gdzie ja leżałem pozbawiony czucia. Nie znając prawie wcale naszych brzegów, wziął tę malutką przystań za inną większą i głębszą, którą mu pokazywałem tegoż dnia rano, i do któréj zeszliśmy razem ze skalistego wybrzeża.

Znalazł mnie tam więc leżącego i nie dającego już prawie znaku życia, i zamiast tracić czas na wyszukanie drogi wykutéj w skale któraby go doprowadziła do zamku, złożył mnie z pomocą majtka do szalupy i wrócił do yachtu. Bujanie czółna przywróciło mi przytomność, i Moneton miał już wydać rozkaz powrotu do Danesheldu, kiedy sprzeciwiłem się temu, nie miałem odwagi spotkać się z tobą, i wolałem się z tych miejsc oddalić. Tylko nie do Danesheldu, nie do Danesheldu powtarzałem co chwila. Płyńcie daléj, daléj błagam was. Głowa moja była strasznie potłuczona, ręce i bok niebezpiecznie poranione. Moneton obawiał się przewozić mnie w tym stanie do Ameryki, ale w końcu wzruszony moją boleścią i prośbami kazał płynąć daléj. Nie chciałem aby z mego powodu zatrzymywano się gdzieś w drodze, nie pozwoliłem nawet aby Moneton pisał do Anglii. „Niech sądzą że już nie żyję" powiedziałem zniechęcony.

— Ale dla czego...

— A! dla czego? Ja sam tego nie wiem. Dla czegoż gniew i namiętność pozbawiają nas rozumu? Zdawało mi się że cały świat sprzysiągł się na mnie, że nikt o mnie nie dba, i pod wpływem téj goryczy, a może przejęty samolubstwem, sądziłem że mi wolno skazać innych także na cierpienie.

— Czy się to godziło zniknąć tak bez wieści, szepnęła Adelajda tonem wymówki.

— Ta noc była równie stanowczą w mojém życiu, jak i w twojém Adelajdo. Téj nocy przekonałem się że kobieta dla któréj poświęciłbym wszystko zwodzi mnie, wyśmiewa się ze mnie, szydzi z moich uczuć, a serce swe oddała Herbertowi Dane, jak on sam przechwalał się z tém w ciągu naszéj kłótni. Zdawało mi się że najrozsądniéj uczynię jeżeli opuszczę na zawsze kraj mój rodzinny. Może zresztą byłem o tyle romantycznym że cieszyłem się myślą o chwilowém strapieniu jakie sprawi lady Adelajdzie, wiadomość o mojéj śmierci; co do mnie, pobyt w Anglii stał się dla mnie nieznośnym i niepodobnym.

To jednak muszę dodać na moje usprawiedliwienie, lady Adelajdo, że byłem najsilniéj przekonanym iż ktoś musiał widzieć, że pułkownik mnie ratował i zabrał na yacht, i że ta wiadomość musiała dojść do moich rodziców, że zatém nie będą się bardzo niepokoić oczekując na mój list. Kiedy stanęliśmy u kresu podróży byłem bezsilny, cierpiący fizycznie i moralnie, trawiony gorączką, prawie otrętwiały na wszystko, i kiedy Moneton chciał napisać do Anglii, nie pozwoliłem na to. „Ja sam napiszę, rzekłem, skoro tylko odzyskam zdrowie. Przez parę miesięcy walczyłem ciągle ze śmiercią, a gdy następnie zacząłem przychodzić do zdrowia, czy to w skutek jakiegoś chorobliwego dziwactwa, czy też zniechęcenia, odkładałem ciągle do jutra. „Nie piszą do mnie, myślałem, to i ja też nie potrzebuję się śpieszyć." Zawiniłem ciężko postępując podobnie, ale też srogo zostałem ukarany. Pewnéj nocy śnił mi się ojciec i matka; po przebudzeniu zacząłem rozmyślać nad mojém postępowaniem, i sam zadziwiłem się nad moją niczém nieusprawiedliwioną niesprawiedliwością. Postanowiłem napisać tegoż samego dnia jeszcze, i napisałem rzeczywiście czyli raczéj zacząłem pisać, kiedy jeden z moich przyjaciół wszedł do mnie z Londyńską gazetą w ręku. „Zdaje mi się rzekł, oddając mi dziennik że tu jest przykra, a obchodząca cię zblizka wiadomość." Zwróciłaś już może na to uwagę, Adelajdo, że przez jakiś dziwny zbieg okoliczności, wiadomość o drogich nam osobach dochodzi nas często zaraz po tém kiedy nam się śniły. Wskazany mi artykuł uwiadomił mnie o śmierci moich rodziców.

— Rodziców? Oni nie jednocześnie zakończyli życie.

— Wiem o tém, ale jakkolwiek ten artykuł był napisany z powodu śmierci mego ojca, zwracano w nim uwagę na to że nastąpiła tak prędko po śmierci jego żony. W końcu wspomniano w kilku słowach, że baronem Dane i parem Anglii; został Godfred Dane, i byłem pewnym że to mowa o moim bracie. Napisałem zaraz do niego, ale nie odebrałem nigdy odpowiedzi.

Lady Adelajda podniosła głowę.

— Tak, nie odebrałem odpowiedzi, co mnie rozgniewało. Byłem pewny że Godfred nie może zapomnieć naszych dawniejszych nieporozumień, i prawdę mówiąc, nie troszczyłem się bardzo o to. Niech i tak będzie, pomyślałem, ja mu się narzucać nie myślę. Co więcéj, ponieważ wszystkie wieści z Anglii były mi już zupełnie obojętne, nie pisałem już nigdy i do nikogo. Przez te dziesięć lat podróżowałem prawie ciągle i zwiedziłem najodleglesze nawet okolice nowego świata, nie domyślając się nawet że pan Herbert Dane, jako głowa rodu, panuje spokojnie w Danesheldzie...

Lord Dane zamyślił się na chwilę, a po tém dodał:

— Jednak każde wspomnienie o mnie musiało przejmować go trwogą.

— Nikt nie mógł zrozumiéć tego, rzekła Adelajda, czemu zaraz po objęciu spadku wyjechał z kraju, dziwiono się że przez dziesięć lat bawił za granicą, nie domyślając się tego, że nie mógł znieść widoku tych skał nadbrzeżnych.

— Zapewne, odpowiedział lord Dane, a prócz tego, czuł się pewno bezpieczniejszym za granicą, gdzie go nie mogła dosięgnąć ręka sprawiedliwości. Nie raz zapewne czoło jego pokrywało się zimnym potem na myśl że prawda może wyjść na jaw, że lada chwila mogą odkryć że to on był zabójcą Harrego Dane, a wszakże koroner w sprawozdaniu swojém zawyrokował. Morderstwo rozmyślne.

Przez parę minut panowało głuche milczenie. Lady Adelajda zdawała się upadać pod ciężarem gnębiącego ją niepokoju i udręczenia.

— Czy Herbert odebrał ten list który pisałem do Godfreda? Był adresowany do lorda Dane.

— Nie wiem; nic o tém nie słyszałam. Od téj nieszczęsnéj nocy zaledwie zamieniłam z nim kilka słów. Ale zdaje mi się że nie odebrał go wcale.

— Dla czego tak sądzisz?

— Bo sądząc podług siebie, czuję że pozyskanie téj pewności że żyjesz przyniosłoby mu prawdziwą ulgę... największe szczęście, byłby się starał wynagrodzić wyrządzoną ci krzywdę. Przynajmniéj takie jest moje przekonanie. — Czy dziś dopiero przybyłeś do Danesheldu?

— Jeszcze we wrześniu, kiedy burza wyrzuciła mnie na te brzegi, prawie przed progiem rodzimego zamku. Czy i to także nie dziwny zbieg okoliczności? Ale gdyby nie odwaga i poświęcenie twego pasierba, nie ujrzałbym już nigdy Danesheldu.

— We wrześniu? powtórzyła zdumiona. Czy to być może! więc to ty zostałeś uratowanym! więc to ty mieszkałeś tu pod nazwiskiem pana Home?

— Tak jest.

— Po cóż było ukrywać się tak długo?

— Miałem do tego powody. Może posunąłem do tego stopnia grzeczność, że nie chciałem zbyt nagle pozbawić lorda Dane tytułu i dochodów.

Twarz jego, gdy to mówił, przybrała wyraz dojmującego, prawie przerażającego szyderstwa. Lady Adelajda zadrżała; teraz dopiero zrozumiała jakie to ważne zajść muszą zmiany.

— Tak, prawda; skoro ty żyjesz, Herbert nie może pozostać nadal... Ty... bezwątpienia... ty... jesteś lordem Dane.

— To nie podlega wątpliwości. Herbert nie jest nim i nigdy nie był.

— Czemuż w takim razie nie wróciłeś prędzéj aby objąć należną ci godność?

— Bo nie wiedziałem że mam do niéj prawo. Nie zrozumiałaś więc tego co mówiłem? Byłem przekonanym że to Godfred, mój brat, jest lordem Dane.

— Tak... tak... prawda... Wągłowie mi się miesza... nie mogę zebrać myśli. A! jakiż to cios będzie dla niego!

— Tak się zdaje... Słyszałem coś że się stara o rękę Maryi Lester. Śliczne to dziewczę... o ile przynajmniéj można wnosić z tego co obiecywała będąc dzieckiem.

— Jakim sposobem mogłeś dowiedziéć się o tém? zawoła zdziwiona lady Adelajda.

— O! dowiedziałem się bardzo wielu rzeczy w czasie mojego tu pobytu, odpowiedział lord Dane. Czy sprzyjasz jego zamiarom?

— Ani sprzyjam ani też jestem im przeciwną. Nie chcę wziąść żadnego udziału w ożenieniu Herberta Dane... Zresztą Marya go nie kocha, doszła już do tego stopnia upodlenia co i brat jéj Wilfrid, i nie wstydziła się oddać serca takiemu Lydney'owi.. Ale prawda że ty go znasz także... został wyratowany razem z tobą. Przestrzegam cię Harry, nie ufaj mu, bądź ostrożnym... Wchodząc tu zastałam go u ciebie, a jest to jak się zdaje awanturnik, człowiek nikczemny, słowem prosty rabuś, który

stara się o Maryę, jedynie dla jéj posagu. Wczorajszéj nocy wkradł się do naszego domu...

— Doprawdy! Rzucasz bardzo ciężkie zarzuty na potomka Dane'ów.

— Na potomka Dane,ów!.,. Wszak nie mówię o żadnym z Dane'ów.

— Przeciwnie, mówisz. William Lydney jest Williamem Dane.

Lady Adelajda zdumiona patrzyła na niego szeroko otwartemi oczyma.

— Musisz przypominać sobie że kiedyś wyznałem ci że ożeniłem się potajemnie. Nie powiedziałem ci wtenczas że mam syna z tego małżeństwa, ale miałem zamiar, Adelajdo, uwiadomić cię o tém przed naszym ślubem. On to właśnie, mój syn, Godfred William Lydney Dane, uchodzi w oczach mieszkańców Danesheldu za awanturnika i oszusta.

— Czy być może!... więc on... on będzie... będzie kiedyś... lordem Dane!

— Tak... skoro tylko ja żyć przestanę, on zostanie panem Danesheldu.

— Mój Boże! a ja go nazywałam—a! jakież ja mu znieważające nadawałam nazwy! Choć zresztą wszyscy w Danesheldzie czynili tak samo.

— Wiem o tém; ale przyznasz sama że jego stanowisko dozwala mu nie zwracać uwagi na te wszystkie oszczerstwa... Teraz nie dziwi cię to już zapewne że policya nie zważając na rozkaz wydany przez twego męża uwolniła *niebezpiecznego winowajcę!*

— Więc to jest twój syn. Nie mogę oswoić się z tą myślą, tém więcéj że nie wspomniałeś mi nic o nim dawniej, mówiąc o twém pierwszém ożenieniu.

— Bałem się aby cię to nie zraziło do mnie, sądziłem że lepiéj będzie jeżeli zwolna; stopniowo, wyznam ci całą prawdę. Byłbym jednak powiedział ci wszystko przed ślubem—co zresztą było dla mnie koniecznością—chociaż istnienie mego syna nie przynosiło żadnéj zmiany w moich interesach majątkowych; odziedziczył po matce tak wielki majątek, że mogłem swobodnie rozporządzać moim. Nie mogłem też rachować na to abym mógł odziedziczyć po ojcu jego tytuły i godności; brat mój był wtenczas równie zdrów i silny jak ja, i miał zamiar ożenić się wkrótce.

— Więc twój syn jest bogatym?

— Bardzo bogatym nie licząc nawet mego osobistego majątku, i majątku spadającego dziedzicznie na lordów Dane. Byłaby to lepsza partya dla Maryi Lester, niżeli kuzynek Herbert Dane.

— Czy zaskarżysz go do sądu? zapytała zniżonym głosem.

— O jaką zbrodnię?... o rabunek popełniony w lasach, czy też o kradzież gwałtowną?

— O Harry nie żartuj! Szydzisz sobie z mego nieszczęścia. Ja pytałam się... ale nic już, nic!

Chciała się dowiedzieć jaki los czeka Herberta, i myśląc o nim zadała to pytanie.

— Widzę Adelajdo że obliczywszy sumiennie wszystko, droga naszego życia nie była usłana kwiatami.

O! tak, ona spotykała na swéj drodze same tylko ciernie, życie jéj było straszne. Ją równie jak Herberta Dane dręczyła bezprzestannie obawa aby nie odkryto prawdy. Nieszczęsna ukryła znów twarz w dłoniach, i pierwszy raz od początku téj rozmowy, wybuchła głośnym płaczem.

— Nikt nie może zebrać, Adelajdo, nic innego nad to co zasiał, rzekł lord Dane; zdrada, wiarołomstwo, muszą być ukarane prędzéj czy później.

Wstała nagle i zalana łzami upadła przed nim na kolana:

— Harry! ty nie zdradzisz méj tajemnicy, wszak prawda. Błagam cię! Zaklinam cię w imię téj miłości którą niegdyś miałeś dla mnie!

— Jakiéj tajemnicy? zapytał.

— Że poznałam ciebie i Herberta owéj nieszczęsnéj nocy. Niestety! niektóre wasze słowa doszły aż do mnie, i wiedziałam że to ja byłam jedynym powodem waszéj walki! Miéj litość nademną! Wolałabym skonać u nóg twoich, jak przenosić hańbę która spadłaby na mnie gdyby się dowiedziano o mojém krzywoprzysięztwie.

Klęczała dopóki jéj nie przyrzekł że zachowa to w tajemnicy.

— Przebaczam ci rzekł, i przyrzekam milczenie, niechaj przeszłość na zawsze pogrzebaną zostanie... ale spokoju sumienia ja ci powrócić nie mogę, o to musisz się starać sama, przez wszystkie dni życia twojego.

Pożegnała się z nim, otuliła się szalem i włożyła kapelusz. Lord Dane chciał aby William odprowadził ją do domu, ale wolała odejść sama.

„Proszę cię, Adelajdo rzekł lord Dane, nie wspominaj jeszcze nikomu o tém czego się tu dowiedziałaś. Chcę się dać poznać w Danesheldzie wtenczas dopiero kiedy to uznam za właściwe i w sposób najodpowiedniejszy do moich zamiarów, co zresztą nastąpi wkrótce. Do tego czasu jestem dla wszystkich panem Home. Czy mi to przyrzekasz?

Skinęła twierdząco głową, i zeszła ze schodów zasłoniwszy woalką twarz zapłakaną. Pani Ravensbird czekała na nią przy drzwiach.

„Byłabym chętnie przestrzegła milady, ale nie śmiałam, rzekła do niéj cicho. Obawiałam się ciągle aby milady nie doznała zbyt gwałtownego wrażenia.

-- Więc wiedziałaś o wszystkiém Zofio?

— Tak, i to zaraz od drugiego dnia jego pobytu w oberży. Zdjął umbrelkę—bo nie cierpi wcale na oczy, włożył ją tylko aby mu twarz zasłoniła, i dał się poznać Ryszardowi. Przypuszczono mnie do tajemnicy, wiedząc że i bez tego poznałabym go w końcu sama. Co milady na to powie, że ja suszyłam sobie nad tém głowę, kogo z moich znajomych przypomina mi pan William Dane! Że też zawsze szukamy gdzieś daleko tego co mamy blizko siebie.

Lady Adelajda pożegnała panią Ravensbird, i wróciła do Hall smutna, upokorzona i niespokojna.

Rozdział XVI.

Nie można zaślubić swéj babki.

Herbert Dane siedział obok siostry w sali jadalnéj pomimo że dawno już skończyli śniadanie. Był zamyślony, niespokojny i zdawał się układać jakieś plany. Rozmyślał jakiego ma użyć sposobu dla pozbycia się Lydney'a.

Miss Dane, ubrana, stosownie do swego zwyczaju w suknię bardzo jasną, i różowe kokardy na głowie, spoglądała od czasu do czasu na ulubionego kanarka, który stał z klatką na oknie. Ona także była trochę niespokojna, bo popełniła coś takiego co mogło nie podobać się bratu, a obecnie trzeba to było wyznać.

„Mój drogi Godfredzie, chciałam ci coś powiedzieć... Ale może będziesz się na mnie gniewać; może mnie wyłajesz.

— Kiedyż to ja łajałem cię Cecylio?

— A więc powiem ci że pisałam do pana Lydney, aby tu przyszedł.

Herbert podskoczył na krześle.

— Pisałaś do Lydney'a, aby przyszedł tu, do pałacu, powtórzył z zadziwieniem.

— Tak, Godfrzie, jeszcze wczoraj, wieczorem. Skoro tylko dowiedziałam się że policya uznając że posądzono go niesłusznie o tak szkaradne przestępstwo, wróciła mu wolność, napisałam do niego prosząc, aby mnie odwiedził dziś rano. O! mój drogi Godfredzie, gdyby go zatrzymano dłużéj w więzieniu, byłabym pojechała powozem do bióra policyi, aby go zobaczyć, dać mu dowód mego szacunku i okazać całemu Danesheldowi jak dalece ubolewam nad tém że poważono się wyrządzić mu podobną zniewagę. Zapytałam go raz czy jest bogatym—dość bogatym aby się mógł ożenić, i odpowiedział mi śmiejąc się: „tak, i to o tyle że mógłbym wozić moją żonę pysznym powozem, zaprzągniętym w sześć koni.“ Ma prawo wymagać aby go szanowano, Godfredzie...

Wypowiedziała to wszystko z takim zapałem i tak prędko, że Herbert nie miał czasu jéj przerwać, w końcu jednak wyrzekł stanowczym tonem·

— Nie możesz przyjąć tego człowieka w moim domu, Cecylio!

— A! Godfredzie, nie wymagaj tego odemnie! Cóż ja zrobię? Patrz, już idzie; usłyszysz dzwonek za chwilę.

Wkrótce po tém zadzwoniono rzeczywiście do drzwi wchodowych. Herbert wyszedł z sali jadalnéj, mrucząc coś bardzo niepochlebnego dla siostry, którą nazwał „starą waryatką“, i zbiegł szybko ze schodów. Wbiegł do wielkiéj sali w téj chwili kiedy William Lydney wchodził także do niéj, a Bruff stojący przy drzwiach pochylił przed nim głowę z głębokiem uszanowaniem. Była to pierwsza ale nie ostatnia jeszcze niespodzianka, jaka w tym dniu miała spotkać pana Danesheldu.

„Co pan tu robisz? zapytał zbliżając się do Williama.

— Przybyłem tu na wezwanie miss Dane, odpowiedział grzecznie Lydney. Nie miałem zamiaru narzucać się waszéj wielmożności.

— Ja tu jestem panem, rzekł dumnie. Proszę wyjść.

Mówiąc to wskazał mu drzwi ręką. Bruff przerażony, drżący, rzucił się szybko między nich, i zawołał błagającym głosem.

— O! nie czyń tego! nie mów tego milordzie! błagam cię, zaklinam! później sam milordzie żałowałbyś tego. Ten gentelman może mieć nie mniejsze od waszéj wielmożności prawo do... do... przebywania w pałacach.

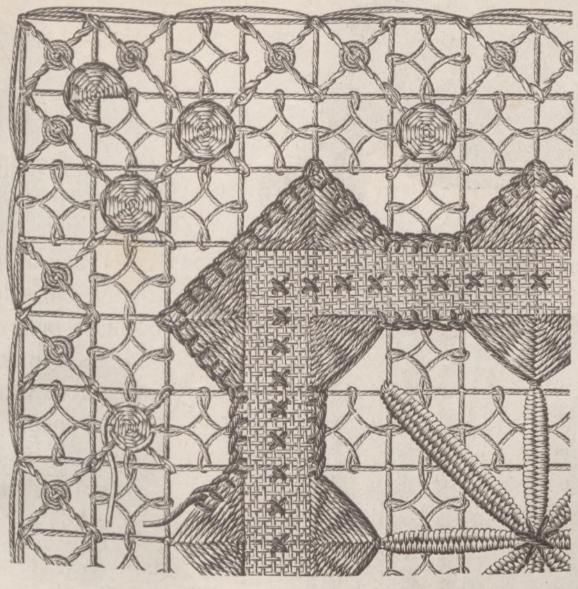
Zanim jeszcze Herbert miał czas odepchnąć Bruffa pan Blair ukazał się w sali. Przybył do zamku prawie jednocześnie z Lydney'em, a teraz chcąc przerwać tę scenę przybliżył się do Herberta.

— Panie, rzekł cicho, proszę o chwilkę rozmowy, zanim pan przedsięweźmiesz cokolwiekbądź przeciwko temu gentlemanowi.

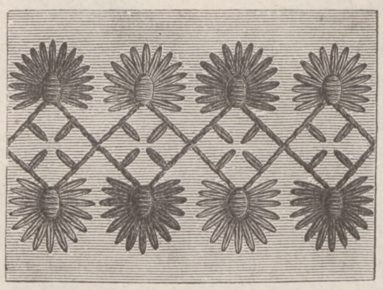
— Panie! *Panie!* powtórzył Herbert zadziwiony tytułem którego od dziesięciu lat nikt mu już nie dawał.

— Wiem co mówię, i dobrze rozważyłem moje słowa odpowiedział pan Blair. Przynoszę panu dziwne, bardzo dziwne wieści.

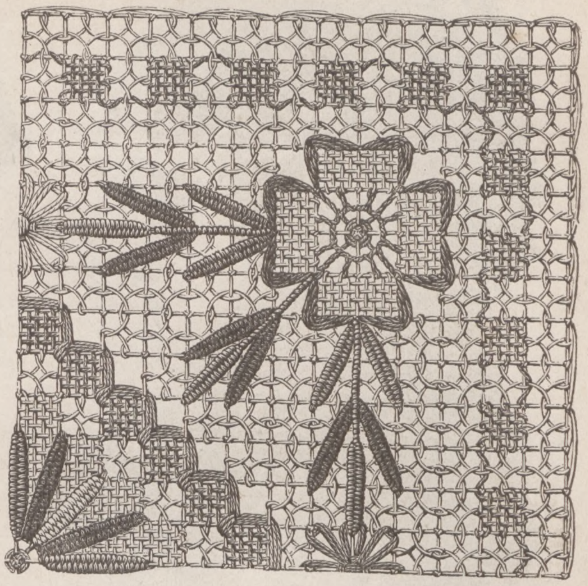
(d. c. n.)



N. 1. Czwarta część kwadratu z siatki gipiurowej do serwetki rycina 2.



N. 5. Szlaczek ściegiem luźnym.



N. 4. Czwarta część kwadratu z siatki gipiurowej, odpowiedniego do ryc. 2.

Opis do N-ru 15.

(Dokończenie).

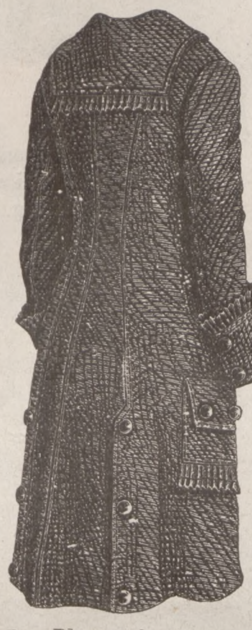
Szerokość stosować się powinna do osoby, można ująć wzdłuż bocznego brzegu lub w razie potrzeby naddać materyału. Okrągło podcięty górny brzeg majtek od krzyżyka do dwukropka zmarszczony jest do 8 cent., dalej zaś zostawiony gładko i wszyty w prosty pasek 4 cent. szeroki, zachodzący z tyłu końcami aż do gwiazdki.

N. 34. Spódniczka krótko pikowana.

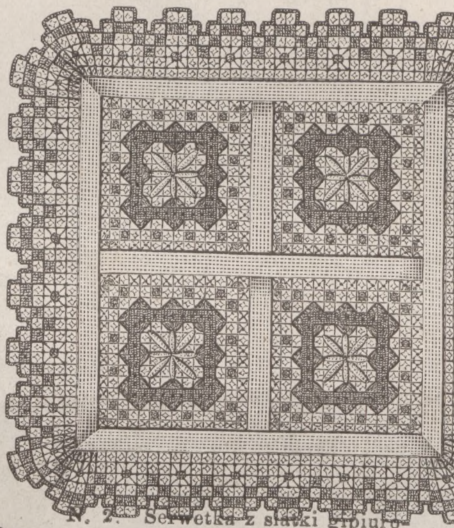
Z wierzchu blado niebieska jedwabna na podszewce białej kaszmirowej lekko podwatowanej jest od góry skośnie w odstępach przestębnowana a u dołu pikowana w drobną kratkę; wąziutkie plisowanie i koronka niciana stanowi przyozdobienie dolne.



N. 6. Krawatka z wyszyciem krzyżykowem. Patrz ryc. 16.



N. 7. Płaszczyk dla panienki lat 7 — 9. Patrz ryc. 8.



N. 2. Serwetka z siatki gipiurowej. Patrz ryc. 1 — 4.



N. 8, Płaszczyk dla panienki lat 7—9. Patrz ryc, 7. Krój i opis na arkuszu Nr. XIII, Fig, 34—39a,

N. 42. Suknia ze stanikiem z kamizeelką i tuniką. Krój tuniki na arkuszu Nr. XXII, Fig. 63. Krój stanika patrz ryc. 43 do 44 w N-rze 11.

Za materyał służy kaszmir śliwkowego koloru i pekin w drobne paski, z którego dana kamizelka i plisy. Spódnica zakończona plisowaniem 20 cent. szerokiem; tunika wykończona oddzielnie lub upięta wprost na sukni, kraje się podług Fig. 63.

N. 43. Negliż formą princesse zdobny koronką. Krój na arkuszu Nr. XI, Fig. 27.

Uszyty z różowej flanelki, ozdobiony atłasem, 5 cent. szeroką nicianą koronką i płaskiemi guziczkami z konchy; dolny brzeg wycięty w zęby podszyte atłasową falbaną 15 cent. szeroką i koronką. Przód sukni zdobią plisy dane nakształt ranwersów, u dołu 13 u góry 7



N. 9. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki. Patrz ryc. 10 i 48.



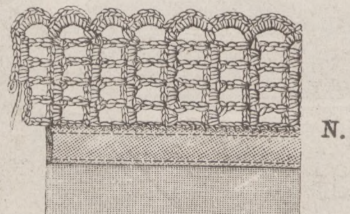
N. 10. Garnirunek do ryc. 9.



N. 11. Chusteczka negliżowa z koronką.



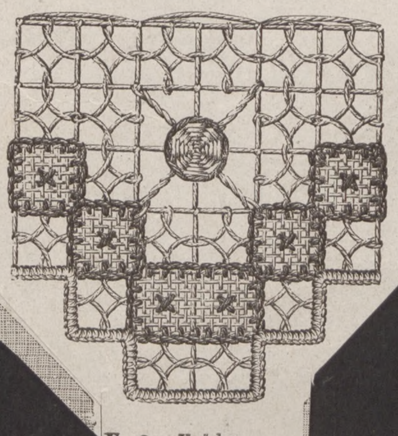
N. 13. Bluza dla chłopczyka lat 2—3. Krój na arkuszu Nr. XV, Fig. 44—48. Patrz ryc. 33 w N. 14.



N. 12. Ząbki szydełkowe do ryc. 7 w N. 14.

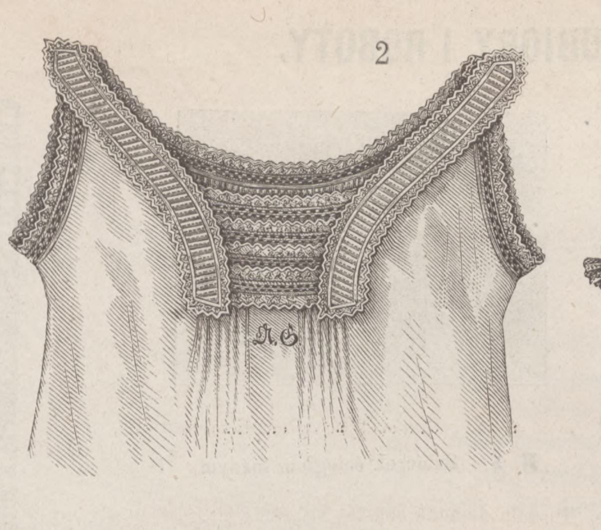


N. 14. Sukieneczka z karczkiem dla dziewczynki lat 2—3. Patrz ryc. 34 w N-rze 15



N. 3. Ząbki z siatki gipiurowej do ryc. 2.







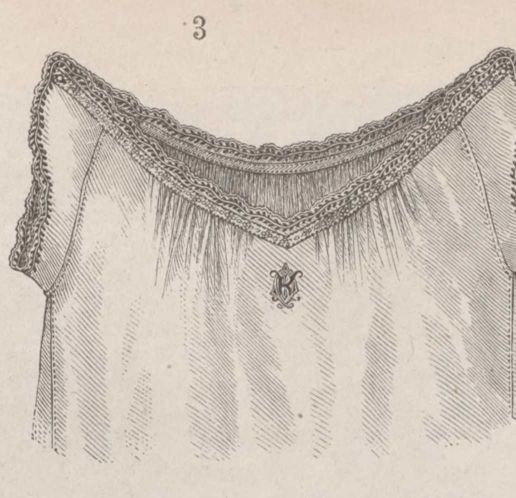
N. 18. Negliżyk z [illegible] złożony. Patrz ryc. 17.







N. 21. Kołnierzyk wykładany. Krój na ark. Nr. XIX. Fig. 60.





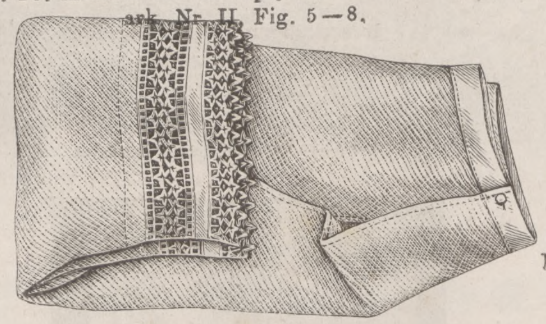
N. 22. Koszula z gorsecikowym karczkiem. Krój na arkuszu Nr. [illegible] Fig. 11—13.

N. 23. Koszula dzienna zapięta na ramionach. Krój na ark. Nr. II, Fig. 5—8.

N. 19. Negliżyk z atłasowemi kokardami. Patrz ryc. 20.







N. 26. Koszula nocna z klinami na ramionach. Krój i opis [illegible]





[illegible] Negliżyk z kokardą z boku. Patrz ryc. 18.

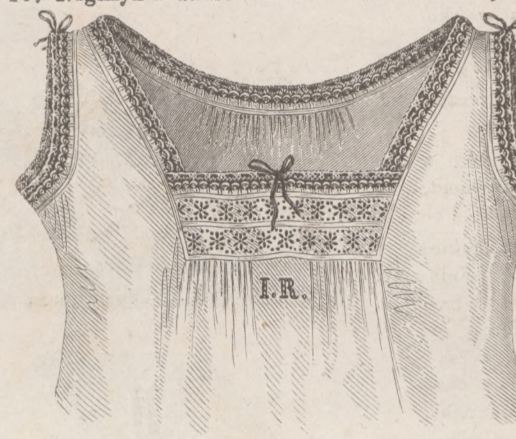
N. 29. Majtki z okrągłym karczkiem. Krój na ark. Nr. VI, Fig. 16—17a.

N. 31. Kaftanik nocny. Krój i opis na ark. Nr. IX, Fig. 21—24.

N. 27—28. [illegible] szydełkowe.

N. 32. Kaftanik zapięty patkami. Krój jak do ryciny 31.

N. 30. Majtki z prostym paskiem. Krój na arkuszu Nr. VII, Fig. 18.



N. 25. Koszula dzienna prosto ścięta z przodu. Krój na arkuszu Nr. III, Fig. 9—10.

N. 24. Koszula ze szmizetkowym karczkiem. Krój na ark. N. V Fig. 14—15.





N. 33. Mankiet męzki spięty sprzączką.



N. 34. Spódniczka pikowana.

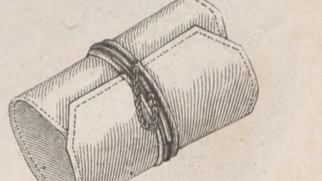








N. 38. Spódnica z kolorowym haftem.



N. 39. Mankiet damski spięty obrączką.

N. 40. Penioar z kwadratowym wykrojem. Krój i opis na ark. Nr. I, Fig. 1—4a.



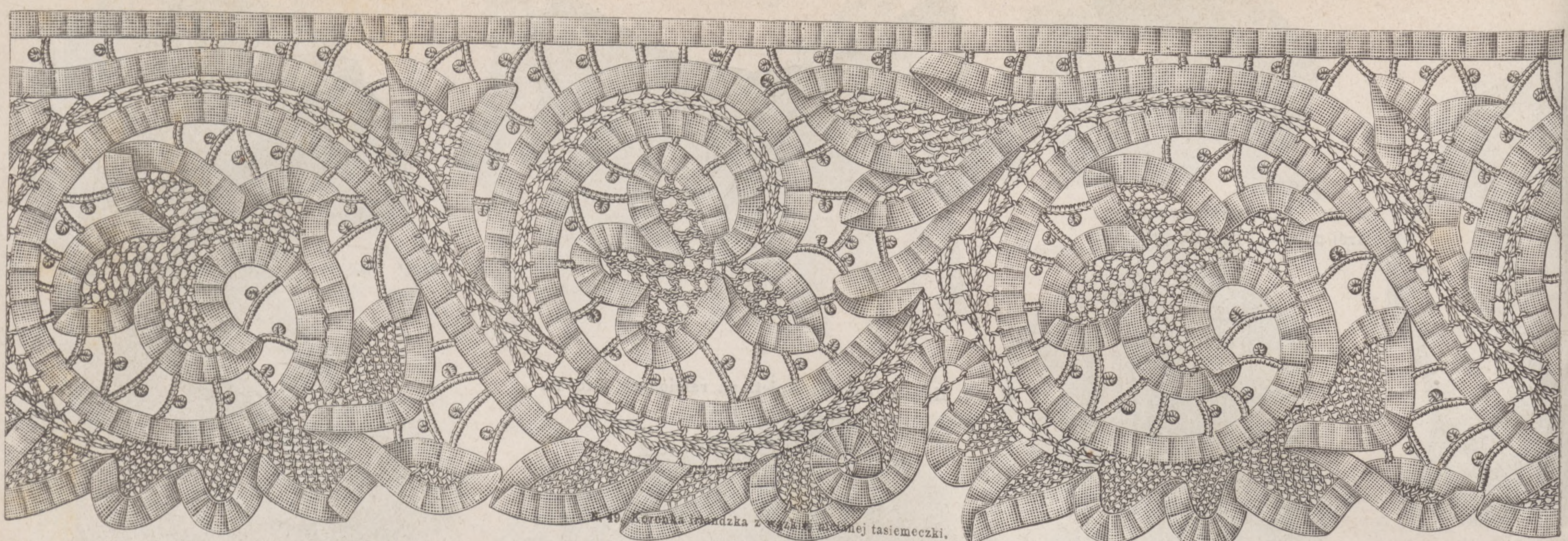


N. 20. Negliżyk z atłasowemi kokardami. Patrz r. 19.

[redacted] stanikiem z kamiz[redacted] arkuszu Nr. XXII [redacted] Suknia z vêtemnet. N. 45. Sukienka dla dziecka. N. 46. Suknia z vêtement a panier. N. 47. Suknia z vetement.

N. 48. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki. Patrz rycina 9.

N. 41. Majtki z prostym paskiem. Krój na arkuszu Nr. VII, Fig. 18.



N. 49. Koronka irlandzka z wązkiej tkanej tasiemeczki.

cent. szerokie, między któremi naszyte garnirowanie z koronki podług ryciny 43. Na kieszeń potrzeba kawałka 20 centymetrów długiego, 17 szerokiego, którego brzeg górny odwinięty jest w skośny ranwers. Czepeczek upięty z fularowej chusteczki.

N. 44. Suknia z krótkiem vêtement.

Vêtement jakie widzimy na rycinie 44, z tyłu ma baskinę odcinaną, ozdobioną ranwersami. Suknia z piaskowego beżu miała plisy, kamizelkę i ranwersy atłasowe; u dołu garnirunek z bufek 20 centymetrów szeroki.

N. 46. Ubranie dla młodej osoby.

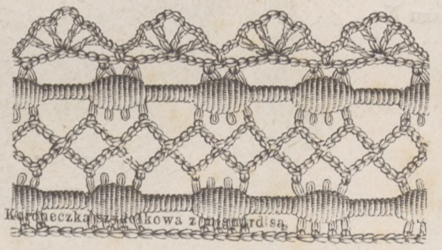
Składa się z gładkiej aksamitnej spódnicy i z vêtement z materyi piaskowej w kolorowe bukiety; modele i fasony krótkich vêtement podamy w dalszych N-rach.

N. 87. Suknia z vêtement.

Jest uszyta z czarnego indyjskiego kaszmiru, vêtement formą princesse podpięta z boku ma dodaną część kamizelkową, zastębnowaną w drobne fałdki i kołnierz fałdowany z przodu 8 z tyłu 13 centym. szeroki. Spódnica z plisowaniem 50 centymetrów szerokim, składanem w fałdy 3 centym. szerokie.

N. 53—54. Chusteczki negliżowe.

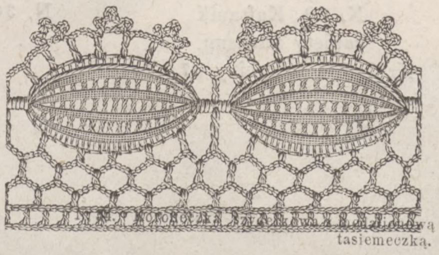
Odpowiednie do rannego ubrania, modne są batystowe, muślinowe lub jedwabne, ozdobione koronką lub szlakiem. Ryc. 54 przedstawia chusteczkę jedwabną przykrojoną podług Fig. 25 i dopełnioną z tyłu klinem Fig. 26; przy kroju trzeba zwracać uwagę na bieg nitek wskazany na formie.



N. 55. Koroneczka szydełkowa z mignardisą.



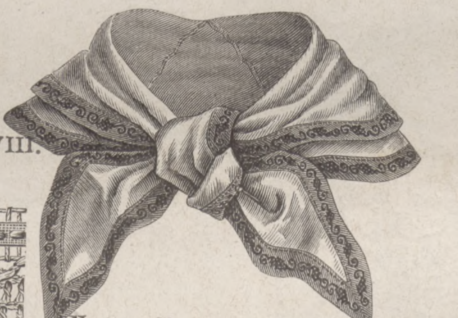
N. 50. Gorset do koszuli nocnej. Opis na ark. N. VIII.



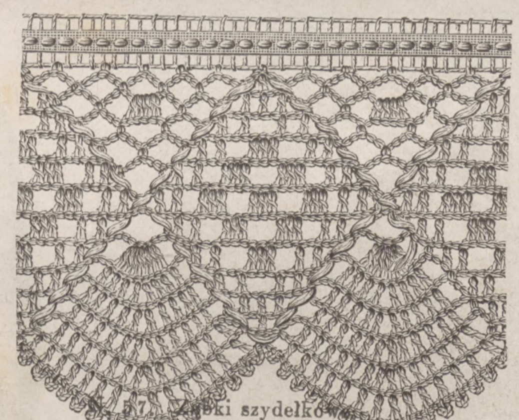
N. 56. Koroneczka szydełkowa z medaljonową tasiemeczką.



N. 53. Chusteczka do negliżowego ubrania.



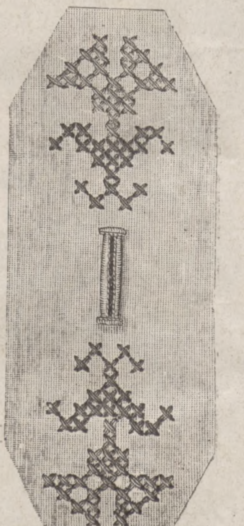
N. 54. Chusteczka jedwabna do negliżowego ubrania. Krój na arkuszu N. X, Fig. 25—26.



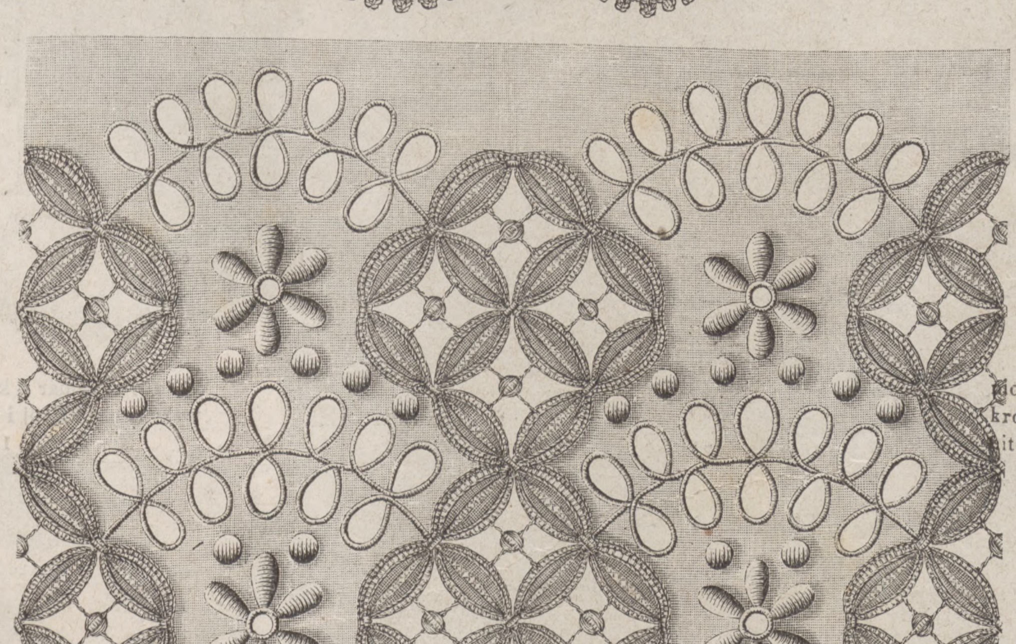
N. 57. Ząbki szydełkowe.



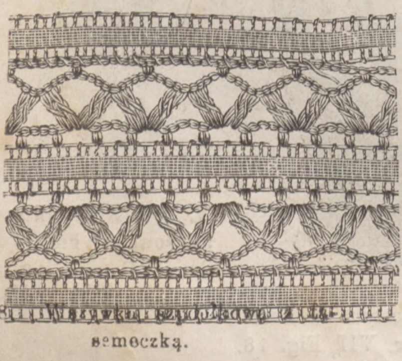
N. 51. Haft koło dziurki do ryc. 56.



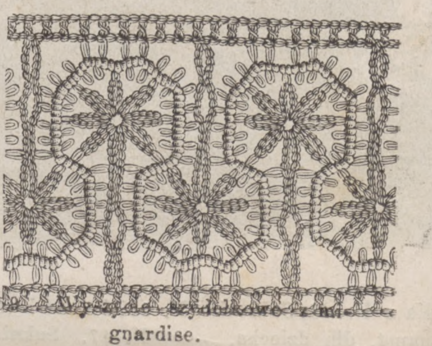
N. 52. Wyszycie około dziurki do ryc. 31.



N. 60. Haft angielski z wrabianą tasiemeczką medaljonową, do bielizny na pościel, spódnic i t. p.



N. 58. Wstawka szydełkowa z tasiemeczką.



N. 59. Wstawka szydełkowa z mignardise.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 14 15.

N. I. Penioar z wykrojem kwadratowym. Rycina 40 w N-rze 15.

Fig. 1. Przód (A, E, F, G). ═ ○ ═ ○
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D). ▬▬
Fig. 3. Połowa pleców (C, D, E, F) 1 założe e. ═ × ═ ×
Fig. 4. Rękaw (G, H, I, K). ⤫ ⤫ ⤫

Fig. 1a — 4a. Zmniejszony form[illegible] zestawionych razem części kroju Fig. 1—4.

Model formą paletota z półwcię[illegible]nemi plecami i luźnemi przodami był z białego batystu, można jednak odszyć go z perkalu, wiktoryi lub t. p. W przodach zaszyte jest po sześć zakładek pó pół cent. szerokich, a z brzegu jedna szersza zakłada z pod której przy przodzie zachodzącym na wierzch wysuwa się haftowana falbanka; wykrój szyi dopasowywa się po zaszyciu zakładek. U dołu kaftanika dana falbana 14 cent. szeroka; rękawy zakończone zakładkami i falbankami.

N. II. Koszula dzienna zapinąna na ramionach. Ryc. 23 w N. 15.

Fig. 5. Połowa przedniej i tylnej części stanu (L, M, N, P, *, :). ▬
Fig. 6. Rękaw (L, M, O, ·). ◂▸ ◂▸ ◂▸
Fig. 7. Przednia połowa karczka (N, O). ⌒ ◡ ⌒ ◡
Fig. 8. Tylna połowa karczka (O, P). — × — × —

N. III. Koszula dzienna prosto ścięta z przodu. Ryc. 25 w N. 15

Fig. 9. Połowa przedniej i tylnej części stanu (Q, R, S, *, :, +, ·) · + ·
Fig. 10. Połowa przedniego karczka (R, S, *). + + + +

N. IV. Koszula dzienna z gorsecikowym przybraniem. Rycina 24 w N-rze 15.

Fig. 11. Połowa przedniej i tylnej części stanu (T, U, V, W, X, :, ·, +) ═+
Fig. 12. Połowa przedniego karczka (U, V, *). ' ' ' ' '
Fig. 13. Pasek boczny (V, W, X, *). * — * — * —

N. V. Koszula dzienna ze szmizetkowem przybraniem. Rycina 24 w N-rze 15.

Fig. 14. Połowa przedniej i tylnej części stanu (a, b, c, d, e, *, :). ·+—
Fig. 15. Połowa karczka (b, c, d, e). — · —

N. VI. Majtki z okrągłym paskiem. Rycina 29 w N-rze 15.

Fig. 16. Połowa majtek (f, g, h, i, k, *) 1 założenie. ⌐⌐⌐
Fig. 17. Pasek (h, k, *). — · — ·

N. VII. Majtki z prostym paskiem. Ryc. 30 i 41 w N. 15.

Fig. 18. Połowa majtek (l, m, +, :, *) 1 założenie. —— ——

N. VII. Koszula nocna z klinikami na ramionach. Rycina 26—28 i ryc. 50—52 w N-rze 15.

Fig. 19. Połowa przedniej i tylnej części stanu (n, o, p, q, *). — ○ —
Fig. 20. Połowa klinika na ramieniu (o, p, q). ' ' ' '

Podług Fig. 19 kraje się przednią i tylną poł[illegible]ę stanu dodając na długość i szerokość podług miar wypisanych [illegible] formie (długość 103 cent., szerokość dolna 95 cent). Stan przedni jest od q do gwiazdki zaszyty w drobne zakładeczki stopniowej długości; brzeg stanu tylnego jest drobniutko zmarszczony, podług znaków danych na Fig. 20. Rękaw przykrojony tak jak do męzkiej koszuli liczy 55 cent. długości, 50 cent. szerokości w górze, 30 u dołu i jest zastębnowany w zakładki 12 cent. długie, przeszyte dwa razy pliską 3 cent. szeroką, ozdobioną wyszyciem krzyżykowem. Takaż pliska i falbaneczka dana wzdłuż przodu i w około wykroju szyi.

N. IX. Kaftanik nocny. Rycina 21 i 52 w N-rze 15.

Fig. 21. Przód (r, s, t, u, v, *). ∿∿∿
Fig. 22. Połowa pleców (r, s, t, u, z) 1 założenie. — - — -
Fig. 23. Rękaw (r, w, x, y). ⤫ ⤫
Fig. 24. Połowa paska do szyi (z, *). ⊢⊣ ⊢⊣

Uszyty z piki i z materyału kiprowanego (croisé) z któreg[illegible] dany obrąb z przodu, kołnierzyk i falbanki przy rękawach. Szlaczek fabryczny zwany trimming stanowi przyozdobienie; koło dziurek dane wyszycie ściegiem krzyżykowym podług ryc. 52.

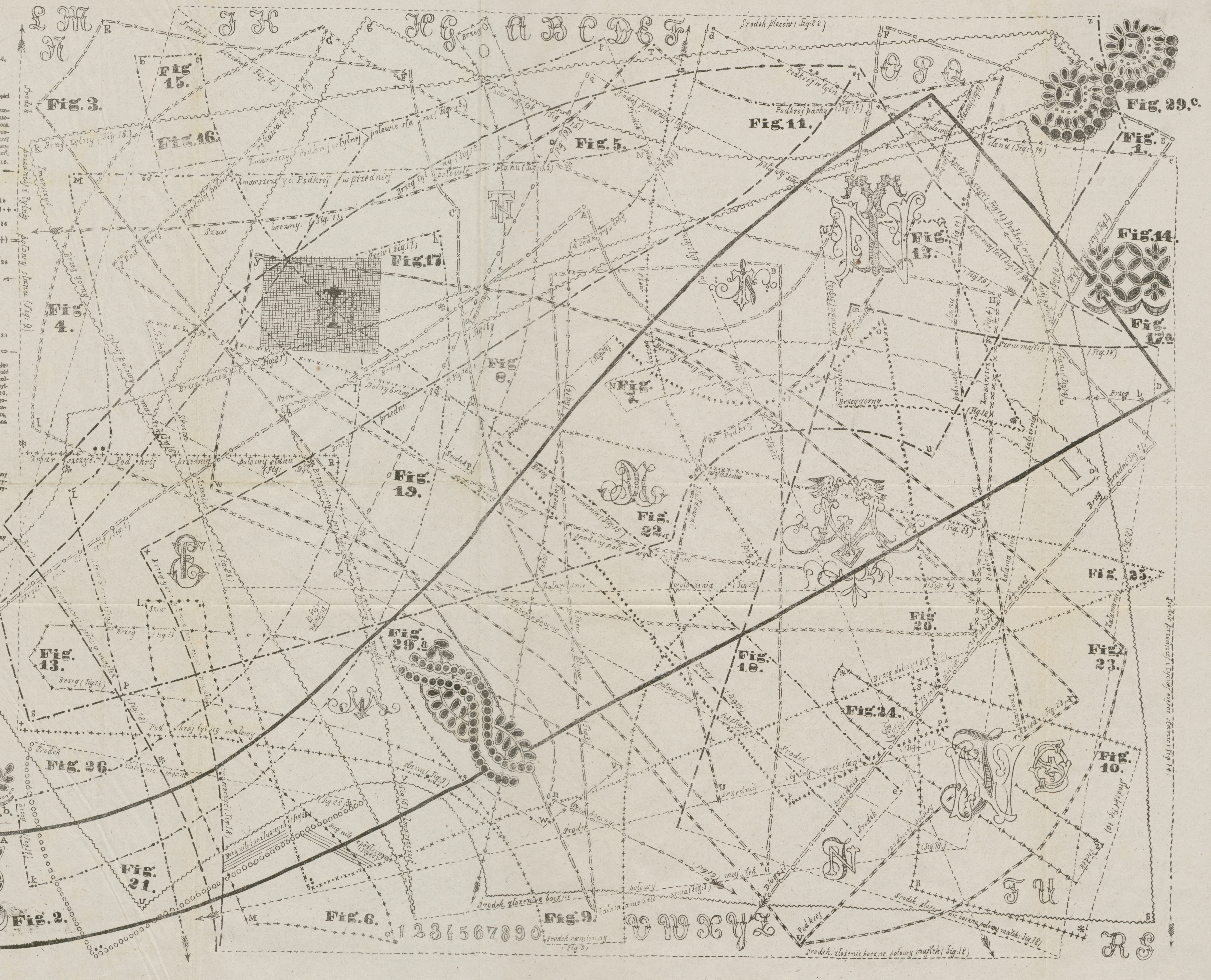
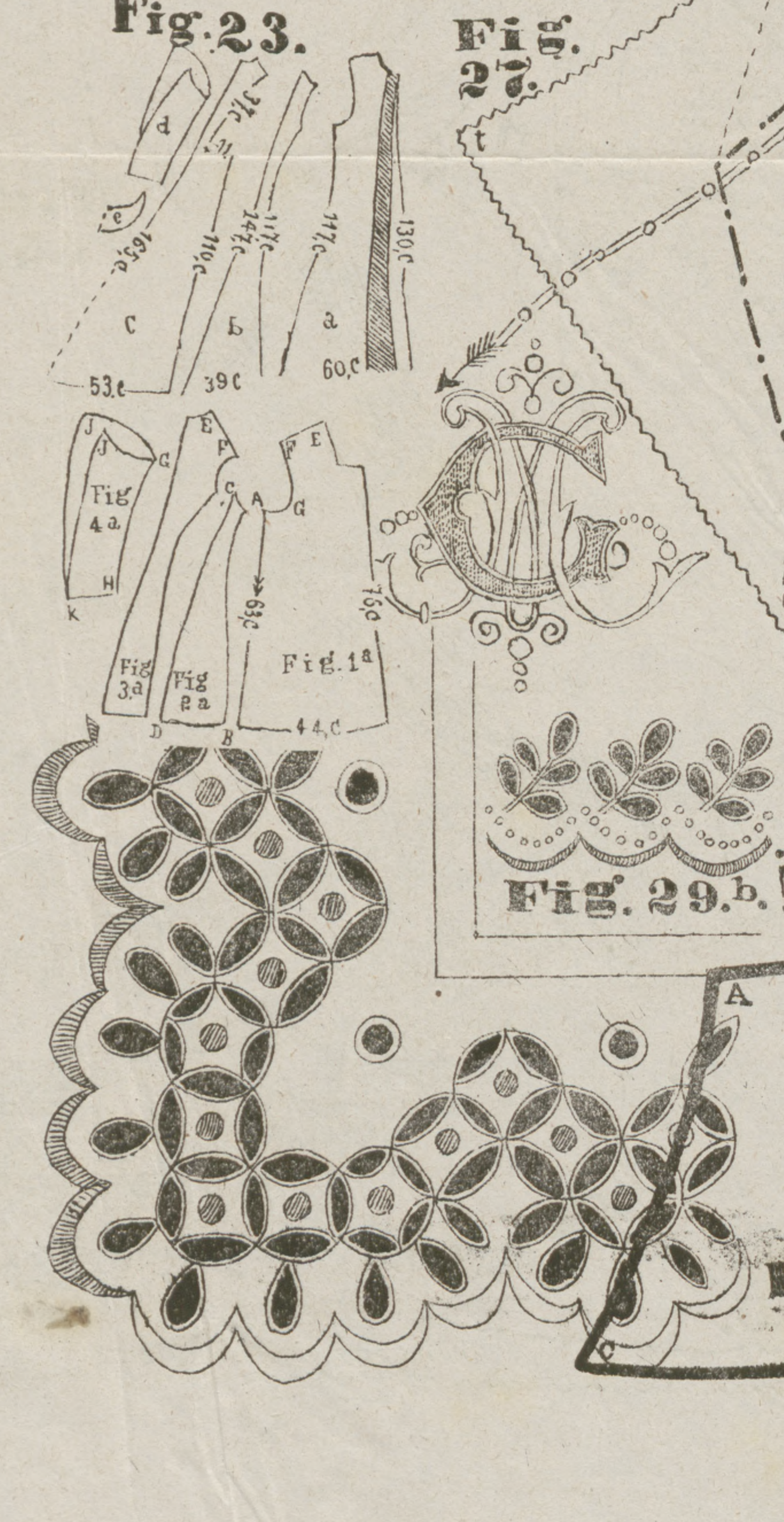
N. X. Chusteczka na szyję. Rycina 54 w N-rze 15.

Fig. 25. Połowa chusteczki (*, :). × · × · × ·
Fig. 26. Połowa klinika (*, :). ○ ○ ○ ○ ○

N. XI. Negliż formą princesse. Rycina 43 w N-rze 15.

Fig. 27. Krój princesse w maleńkim formacie podług kroju do ryciny 10—11 w N-rze 5 Tygodnika.

Desenie do haftu, Fig. 28—29a—29c.

N. XII. *Płaszczyk* z peleryną. Rycina 9 w N-rze 14.

Fig. 30. Przód (A, B, C, E). ~~~~~
Fig. 31. Połowa pleców (A, B, C, D). ▬▬▬
Fig. 32. Połowa peleryny (D, E, *, :). — — —
Fig. 33. Połowa kołnierza (D, E). ✕ ✕ ✕

Fig. 30a—33a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 30—33.

Dogodny płaszczyk z długą peleryną zrobiony jest bez rękawów, można jednak pachę mniej wyciąć (jak to wskazują kropki na zmniejszonym formacie) i dodać rękawy które mogą być tylko przywiązywane lub przypinane na guziki. Na długość płaszczyk dopełniony jest falbaną 20 cent. szeroką, układaną w fałdy 6 cent. szerokie, zakładane z brzegów tylko na 1½ cent. zastębnowane wzdłuż na 11 centym. Takaż falbana 14 cent. szeroka zakończa pelerynę; przednie brzegi płaszczyka podszyte listwą 9 cent. szeroką.

N. XIII. *Płaszczyk* dla dziewczynki lat 7—9. Ryc. 7—8 w N. 15.

Fig. 34. Przód (F, L, M, N, S, T). — - — - —
Fig. 35. Pierwsza część pleców (F, G, H, I, K, M, U) 1 założenie. ∞
Fig. 36. Druga część pleców (H, I, K, L, E) 1 założenie. × · × · ×
Fig. 37. Rękaw (N, O, P, Q). ✕ ✕
Fig. 38. Połowa marynarskiego kołnierza (R, S). × · × · × ·
Fig. 39. Kieszeń (T, U). —◆— —◆— —◆—

Fig. 34a—39a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 34—39.

Płaszczyk przedstawiony na ryc. 7—8 uszyty z ciemno popielatego szewjotu, zapięty trochę z boku na czarne rogowe guziki, a z brzegów ozdobiony stębnówką. Całkowite miary długości i szerokości wypisane są na formie; pojedyncze części płaszczyka zakładają się troszkę na siebie i stębnują wierzchem co tworzy jak gdyby szew z wypustką; boczki zachodzące trochę na plecy są dwa razy zastębnowane, pod spód zachodzące brzegi pleców są zaobrąbione.

N. XIV. *Sukienka* z karczkiem dla dziewczynki lat 2—3. Rycina 34 w N-rze 14 i ryc. 14 w N-rze 15.

Fig. 40. Przód (a, b, c, d). —◆— —◆— —◆—
Fig. 41. Połowa pleców (a, b, e, f). + + + +
Fig. 42. Połowa karczka (c, d, e, f). × – × – × –
Fig. 43. Rękaw (d, g, h, i). ✕ • ✕ •

N. XV. *Bluza* dla chłopca lat 2—3. Rycina 33 w N-rze 14 i ryc. 13 w N-rze 15.

Fig. 44. Połowa przodów (k, l, m, n, *, •). ═ ○ ═ ○
Fig. 45. Połowa pleców (k l, o, p, :, ┼). ═ × ═ × ═
Fig. 46. Połowa karczka (m, n, o, p, t, u). ◆ ◆ ◆ ◆ ◆
Fig. 47. Rękaw (n, q, r, s). ⊓⊔⊓⊔
Fig. 48. Kołnierz (t, u). ○ ○ ○ ○ ○

N. XVI. *Fartuszek* z napierśnikiem. Rycina 36 w N-rze 15.

Fig. 49. Połowa przodu (v, w, x). —• • —• • —• •
Fig. 50. Klin boczny z napierśnikiem (v, w, y) 1 założenie. — ✳ —
Fig. 51. Połowa napierśnika z przodu (v, x, y). ◆ ◆ ◆ ◆ ◆

Fig. 51a. Deseń wyszycia.

Fartuszek przedstawiony na ryc. 36 uszyty z batystu, ozdobiony pliskami haftowanemi 3 cent. szerokiemi; pliska taka idzie na około brzegów) odznacza kliny boczne i zachodzi na napierśnik; oprócz pliski dana falbanka marszczona 3 cent. szeroka, oszyta koronką 2 cent. szeroką. Końce do wiązania są po 60 cent. długie a po 7 szerokie.

N. XVII. *Fartuszek* do gospodarstwa zapinany z boku. Rycina 35 — 36 w N-rze 14.

Fig. 52. Połowa przodu (1, 4). ⟷ ⟷
Fig. 53. Klin boczny (1, 5, 6). —• • —• •
Fig. 54. Połowa przodu napierśnika (2, 3, 4). •◆• •◆•
Fig. 55. Boczna część z paskiem (2, 2). ⟷ ⟷
Fig. 56. Połowa kieszeni (5, 6). ✳ ✳ ✳ ✳
Fig. 57. Wskazanie kroju tylnego bryta.

Fig. 52a—56a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 52—57.

Fig. 57a. Deseń haftu.

Praktyczny fartuszek naokoło zasłaniający suknię, przedstawiony na ryc. 35 — 36 może być uszyty z płótna kolorowego, szarego, z szyrtyngu i t. p. Zapięcie urządzone z lewego boku na dziurki obrobione brzegiem przodu i napierśnika i na guziki przyszyte wzdłuż prostego brzegu klina bocznego. Krój wskazuje Fig. 52—57; bryty tylne marszczą się od gwiazdki do środka i przyszywają do napierśnika Fig. 54 — 55, na szwie tym od spodu podszyta listewka. Fartuszek ryc. 35 jest z granatowego płótna, ozdobiony ponsowym haftem na białem płótnie (2 cent. szerokości) podług Fig. 57a, przyszytym do fartuszka dwoma rzędami ponsowej stębnówki; ryc. 36 przedstawia fartuszek z popielatego płótna, zdobny białą plisą haftowaną niebieską bawełną, krzyżykami; gałązki z boków pliski dane są wprost na tle fartuszka.

